

12 stron

ODRODZENIE

TYGODNIK

Kraków, dnia 1 grudnia 1946 r.

Nr 48 (105)

Rok III

PAWEŁ KONRAD

CHLEB I WINO DEMOKRACJI

METODA I SZALEŃSTWO

Wstrząs, jakiego doznała demokracja europejska z chwilą dojścia do władzy Hitlera, wywołał w niektórych jej kołach kryzys zaufania do własnych metod. Wiedzano, że program hitlerowski jest wyzwaniem racuonym wszystkiemu co sprawiedliwe, mądre i wzniosłe. Wiedzano, że metody hitlerowskiej propagandy są wyzwaniem racuonym wszystkiemu co racjonalne, etyczne, prawdziwe. Wiedzano, że cała ideologia i pseudofilozofia narodowego socjalizmu nie są godne rzeczowej dyskusji, że stanowią zlepek przesładowczych ideł. Wiedzano o tym wszystkim w obozie demokracji, a zwłaszcza rozumiano to w kołach, które swoją analizę rzeczywistości i swój światopogląd opierały na naukowych, racjonalnych podstawach materializmu filozoficznego i dziejowego. Wiedzano, ale co z tego?

Maniackie, irracjonalne mity hitleryzmu były absurdalne, niemożliwe do udowodnienia, ale właśnie dzięki temu działały one jak pewniki, podczas gdy ścisła argumentacja demokratów budziła tysiące wątpliwości. Irracjonalizm był siłą — nie słabością faszystów. Liczba wyznawców nowej, szaleńczej idei rosła i chociaż lata późniejsze pokazały, że niedługo poza Niemcami faszystyzm nie sięgnie ruchu masowego, można było sądzić, że pierwsze ogniki faszystyzmu są zapowiedzią pożaru, który ogarnie całą Europę. Przez Europę szedł powiew irracjonalnego zachwyty, ekstatycznego wyzwalania się spod jarzma rozsądku.

Demokracja, ze swoją surowością obyczajów, czuła się zdystansowana i zawstydzona. Faszyzm był zjawiskiem nowym. Nawet nie ulegając defetyzmowi, można było zwątpić o skuteczności dotychczasowych metod działania. Ileż to trudu włożono na lewicy w cierpliwe wyjaśnianie i komentowanie zjawisk, w precyzowanie sformułowań i haseł. Jakże dbano o naukową ścisłość analizy. Marksizm opierał się na systemie filozoficznym materializmu, operował wnikliwą metodą dialektyki, posiadał konsekwentną koncepcję historiozoficzną materializmu dziełowego, znał gruntownie ekonomikę, apelował do najbliższego człowiekowi poczucia jego materialnych interesów, miał jasny i przystępny program polityczny. Każda definicja („pierwsza faza narastania przesłanek kryzysu rewolucyjnego“), każde hasło, każdy zwrot w ulotce i nawet każda obelga były naukowo uzasadnione argumentami filozoficznymi, ekonomicznymi, historycznymi, cyframi statystyki i cytarami z dzieł kłasyków. Wszystko było programowe: rewolucyjne pieśni i symbole, obrazy i wiersze. Krytyka tropiła najdrobniejsze odchylenia czy niejasności. Krytyka literacka wytykała pisarzom sam fakt pominięcia jakiegos zagadnienia. W monistycznym systemie marksizmu wszystkie zjawiska były powiązane ze sobą, wszystko było wyjaśniane i tłumaczone, niczego nie pozostawiano domysłom czy dowolności oceny. A jednak...

Narodowi socjaliści nie dbali o teoretyczną ścisłość ani o historyczną prawdę, czy o konsekwencję. Nie analizowali, nie precyzowali, nie nakładali do uczenia się i rozumienia. Rzucał atrakcyjne hasła bez pokrycia, dawali sprzeczne obietnice. Jasności myśli przeciwstawiali bełkot mglistych skojarzeń. Teoriom przeciwstawiali praktykę, nierzadko nierzadko.

mu, pragermańskich prainstynktów, czczego heroizmu, wodzostwa. Argumentem przeciwstawiali puste efekty mundurów, odznak, beztreściwej symboliki. Faktom przeciwstawiali świadomie produkowane kłamstwa, zmyślane cytaty ze zmyślonych pism, kłamstwa, którym tupet i wielokrotność powtórzeń nadawały pozory realności. Fascynowali, kazali wierzyć i kazali słuchać. To było szaleństwo. A jednak...

W szaleństwie faszystowskiej propagandy tkwiła metoda. Hitler nie był odkrywcą demagogii, ale był jej wielkim nowatorem. Wiedział, że upajające wino emocji szybciej działa na psychikę niż chleb powszedniej argumentacji. Nieskrepowany względami teorii, nie posiadając hamulców etycznych, zagrał na najniższych instynktach mas — i uzyskał odźwięk. Zdemaskowana, skompromitowana i ośmieszona metoda święciła tryumfy. Na co się zdała erudycja i trzeźwy rozum demokratów, gdy kontrargumentem było uderzenie pałąk w łeb. Można było z pogardą wruszać ramionami, ale ręce były już skute.

ARGUMENT I OBJAWIENIE

Fakty to rzecz uparta. Sukces irracjonalnej propagandy faszystowskiej był faktem oczywistym i godnym poważnego zastanowienia. Było faktem, że polityczny szarlatan, nieuk i demagog zawładnął sercami milionów ludzi, że rozpalił w nich ogień fanatyzmu, że pozyskał ich dla absurdalnej, samobójczej idei. Czyżby racjonalna prawda demokracji nie była sama w sobie i sama przez siebie ideałem godnym uznania i zachwytu? Czyżby cel materialnej poprawy bytu i politycznej wolności nie był dla mas oczywistym celem ich dążeń? A może zawiodła metoda? Skoro tak, to może wolno demokracji zapomnieć o surowych regułach zakonu i wejść na drogę rozpalania uczuć i namiętności mas dowolnymi sposobami i chwytami? Jaki sens i jakie znaczenie mogą mieć „pryncypialne” skrupuły w doborze środków działania, skoro słuszny jest sam cel?

"Trzeba się uczyć u Hitlera!" mawiali nienieccy emigranci polityczni. Uczyć się po to, by go prześcignąć. Na to nie starczyło demokracji tchu. Można było sobie pozwolić na pewne przystosowanie się do nastrojów, na zmianę tonu propagandy, na zmianę reżyserii politycznych imprez. Czyniono to w okresie najgorszej walki z hitleryzmem. Ale faszyzm, bezwstydy i pozabawiony skrupułów, dystansował solidnych demokratów. Demokracja nie nadążała. Co gorsza: naśladownictwo czyniło masy jeszcze przystępniejszemi dla demagogii hitlerowskiej. Demokracja mogła się znaleźć w sytuacji cnotliwej dziewicy, która pozdrościła sukcesów prostytutki. Mogła konkurować z nią frywolnością tonu i gestów, ale nie mogła odbić jej miłośników, chyba że kosztem rezygnacji z własnej cnoty...

Czy nie istnieją więc inne, nowe drogi pozyskania człowieka dla idei? Szukano ich na różne sposoby. W atmosferze klęski i niewiary w zwycięstwo, w atmosferze tryumfu irracjonalizmu szukano ich przede wszystkim w sferze pozaracjonalnej. Jak grzyby po deszczu poczęły się rodzic osobnicze koncepcje i teorie dysydenctów. Jak grzyby piękne i szkodliwe trujące.

Niemiecki emigrant polityczny,
marksista i psychoanalityk w jednej

osobie — Wilhelm Reich, doszedł do przekonania, że hasło polityczne nie działa wprost na świadomość ludzką, ale działa poprzez sferę podświadomości. Czując się w niej jak u siebie w domu, Reich zaczął badać, jakie to kompleksy płciowe zwierają się lub wyzwalają pod działaniem bodźca politycznych emocji. W swojej pracy „Die Massenpsychologie des Faschismus“ doszedł do wniosku, że nawet w znaku swastyki symbolizuje płciowość. Analiza miała doprowadzić do wniosków, jakie i jak należy formułować hasła i postulaty polityczne, żeby pozyskać masy, a zwłaszcza młodzież. Kierunek zainicjowany przez Reicha nazywał się Sexualpolitische Bewegung. Niewątpliwie wzbogacił on psychoanalizę, ale i jakoś na politykę wpływu nie wywarł.

Najdalej w psychopolityce posu-
nęła się włoski emigrant polityczny,
były działacz komunistyczny, Ignazio
Silone, znany czytelnikowi polskiemu
autor powieści „Fontamara“ i „Chleb
i wino“ (mniej znany jako autor roz-
prawy pt. „Faszyzm i szkoła dykta-
torów“ oraz powieści „Ziarno pod
śniegiem“, będącej dalszym ciągiem
„Chleba i wina“). Silone wzgardził
powszednim chlebem partyjnego pro-
gramu, wzgardził partyjnym funkcyj-
nariuszem i zapuścił się samopas
w głąb niezgarnionej duszy ludzkiej.
Świadomość ludzka zależna jest od
warunków bytu. Ale, aby te warunki
zmienić, musi się sama naprzód od-
rodzić. Odrodzenie duszy ludzkiej
nie może być dziełem urzędnika-agi-
tatora. Duszę ludzką trzeba zachwy-
cić postawą moralną, szlachetnością
ofiary, czynem, bohaterstwem. Nie
powszedni chleb propagandy i agi-
tacji, ale upajające wino miłości
i ofiary. Nie uświadamiająca broszu-
ra erudyty, ale dobry uczynek i ka-
żanie misjonarza. Nie marksizm, ale
swoisty anarchochryścjanizm.

Przedziwna jest dialektyka rozwoju herezji. Z socjaldemokracji wychodzi się na ogół przez prawe drzwi, z komunizmu — przez lewe. Ale wychodzący często spotykają się za kulisami. Gdy aż nadto umiarkowany reformista Leon Blum przyjechał na wojnie do Włoch, przywitał go na dworcu płomienny apostoł czynu, anarchizujący eks-komunist Ignazio Silone... jako przedstawiciel prawego skrzydła włoskiej socjaldemokracji. Budzieli ujarzmionej duszy włoskiego cafe, piewca miłości i ofiary, występuje dziś przeciw jednolitemu frontowi i przeciw prawom Jęgotawii do Triestu. Cierpkie wino.

Osobnicze teorie dysydentów nie wytworzyły nowej metody działania demokracji. Ale problem istnieje i nadal jest aktualny. Przecież i dziś jesteśmy świadkami tego, że racjonalne, przystępne i jawnie sprawiedliwe postulaty naszej demokracji niekiedy z trudem torują sobie drogę do świadomości ludzkiej, podczas gdy łada brednia o mordzie rytualnym, łada absurdałna plotka polityczna, łada frazes łatwo zdobywają posłuch. Widzimy też, jak irracjonalny rytuał religijny pociąga i czaruje dusze ludzkie, podczas gdy racjonalne postulaty społeczne i gospodarcze z trudem docierają do świadomości. Ogłosicie pielgrzymkę do odbudowy Warszawy — niewielu policzycie patników. Ale ogłosicie, że pod gruzami Warszawy leży cudotwórca piszczeł Szymona Słupnika — a pociągną nieprzebrane tłumy. Tłumy ludzi, którzy nigdy nie widzieli cudu, niczego nie wiedzą o cierpliwym Szymonie Słupniku i nawet nie wiedzą, co to jest piszczeł...

Racjonalne myślenie nie jest bynajmniej powszechną formą myślenia, Świadomość olbrzymiej ilości ludzi składa się z emocjonalnych skojarzeń. Istnieją ludzie zdolni do racjonalnego myślenia tylko w jednym określonym kierunku, ale wykazujący zupełny prymitywizm intelektu w innych dziedzinach. Tak zwany zdrowy rozsądek jest spletem odruchów świadomości, atawistycznych, nabytych, nawykowych. Istnieją ludzie, którzy posiadają poglądy, operują pojęciami, dyskutują, ale wkładają w pojęcie treść zupełnie ubocznych emocjonalnych skojarzeń. Prelegent może coś uczenie wywodzić na temat „Kapitału” Marksa, nadwartości wyzysku, międzynarodówki, a w świadomości takiego prymitywnego (z cenzurą lub bez) słuchacza powstanie taki oto łańcuch skojarzeń: kapitał — gotówka, nadwartość — drożyzna, Marx — Żyd. I wniosek: „jest drogo, bo międzynarodowe żydostwo nas wyzyskuje”.

Doświadczenie hitlerowskie wzbogaciło naszą wiedzę o człowieku, ale jakie wnioski z tego doświadczenia? Czy możemy wyrzec się niedoskonałych metod racjonalnego działania i przemówić do człowieka tylko poprzez emocje? Czy mamy ugiąć się przed niedoskonałością ludzką? Przecież właśnie ten niedoskonały i często prymitywny człowiek jest nie tylko przedmiotem zachodów demokracji, ale i podmiotem przeobrażeń, które demokracja wola.

I to jest sprawa najważniejsza. Dążeniem demokracji jest dokonanie racjonalnej przebudowy społeczeństwa i to dokonanie jej rękoma samego ludu. To wymaga wysiłku świadomego, a więc obudzenia świadomości mas, dokonanego nawet z największym trudem. Reakcja nie posiada konstruktywnego, racjonalnego programu. Koncepcja faszyzmu jest irracjonalna i jej sukces zależy od stopnia oszołomienia świadomości mas. Swoboda doboru środków może dawać okresowo przewagę faszyzmu nad demokracją. Ale wyrzekając się racjonalizmu, demokracja musiałaby z konieczności zrezygnować z samego celu swych dążeń.

Włoski cafone, karmiony powszednią polentą, ocknął się jednak, zanim doirzało wino objawienia.

ŁADUNEK EMOCJI

Każda, najbardziej nawet racjonalna idea posiada swój ładunek emocji. Demokracja nie może operować beztreściwą emocją, ale nie może też operować wyjałowionym argumentem. Istotą zagadnienia metody jest zachowanie organicznego związku między racjonalną treścią a jej emocjonalnym ładunkiem. Pobudzenie wzruszeń, które uprzystępniają racjonalną treść i współdziałają z nią.

Marksizm, a ciężar gatunkowy marksizmu we współczesnej demokracji jest duży, ma racjonalną, od lat już ustaloną treść. Koncepcja marksizmu opiera się na przesłankach filozofii materialistycznej, operuje dialektyczną metodą, obserwuje prawa rozwoju historycznego społeczeństw, analizuje ekonomiczną istotę kapitalizmu i na tych podstawach buduje swój program polityczny. Ale do świadomości ludzkiej marksizm dociera w odwróconej kolejności zagadnień. Człowiek, już pozyskany dla politycznego programu, dopiero sięga do teoretycznych źródeł, szukając potwierdzenia i podbudowy dla zasad, które już uprzednio uznał za słuszne. Nawet jeśli znajomość jego z marksizmem rozpoczyna się od zagad-

nień teoretycznych, w większości wypadków z chwilą rozpoczęcia studiów posiada on już, świadomy lub nieświadomy, emocjonalny stosunek do sprawy. Dzieje się więc, że teoria marksizmu jest przekonywająca głównie dla tych, którzy pragną się dać przekonać. Nie ma co ukrywać, że większość czytelników „Kapitału” czy „Empiriokrytycyzmu” to ludzie, którzy pragną się zgodzić z wnioskami autorów, zanim poznali ich wywody.

Zgodnie z podstawowymi tezami samego marksizmu, nasze poglądy, a więc i nasz pogląd na marksizm, są z natury rzeczy tendencyjne, klasowo zależne, a więc emocjonalnie uwarunkowane. Można by w tym miejscu zauważyć, że takie ujęcie albo podważa relatywizmem obiektywną wartość tez marksizmu, albo, głosząc pozaklasową obiektywną słuszność tych tez, popada w metafizykę. Rozpatrzenie tej sprawy zawiodłoby nas zbyt daleko. Istotne jest tylko to, że marksizm, społecznie żywy, działa i przemawia do świadomości tylko w zespole ze swym emocjonalnym ładunkiem i tylko po, przez ten ładunek.

W zależności od miejsca i czasu emocjonalny ładunek marksizmu ulegał dużym zmianom. Można wskazać na kilka odmian tego ładunku.

Ładunek nihilistyczny. Abnegacja, obojętność i wzgarda wobec otaczającego świata. Zapatrzenie w wizję przyszłości. Fanatyzm.

Ładunek scholastyczny. Doktryn-
stwo, prowadzące do talmudycznego
zakapturzenia. Nieufność, podejrzli-
wość. Skłonność do wulgaryzacji
materializmu. Etyczny relatywizm.
Oschłość.

Ładunek elitarny. Duża inteligencja i erudycja intelektualistów. Oderwanie od ludu. Kosmopolityzm. Wspólnota wtajemniczenia. Wysubtelnienie środków wyrazu.

Ładunek romantyczny. Głęboka wiara i ofiarność bojowników. Romantyka barykad, mas, kolektywizmu. Niechęć do indywidualizmu i psychologii. Ukochanie walki.

Ładunek pozytywistyczny. Umie-
kanie normatywnych stron koncep-
cji. Skłonność do klasycyzmu w u-
mowaniu zagadnień teoretycznych.
Realizm uczuć i dążeń.

Istnieją i inne odmiany. Istnieje odświętny marksizm oportunistów. Istnieje natrętny i drobiazgowy marksizm heretyków. Istnieją różne połączenia i warianty wymienionych ładunków. A marksizm prawdziwy, klasyczny?

Prawdziwa idea, to jest idea uczoneczona. Społecznie prawdziwe w każdej idei jest nie to, co istniało w zamyśle, ale co uwidoczniło się po próbie życia. Społeczną prawdą idei, która nie skostniała, jest ten kształt, który nadają jej realizatorzy.

Markszizm narodził się w zachodniej Europie i jest dzieckiem zachodnio-europejskiej kultury. Ale dziecko to wcześniej zostało oddane na wychowanie rodzinie rosyjskiej, żyjącej w jakże odmiennych warunkach. Przeszło tam twardą szkołę. Dojrzało wcześniej i wcześniej nabrało pewności siebie. Między dzieckiem a rodziną, do której wraca, panuje atmosfera wzajemnej nieufności. W oczach przewrażliwionego Zachodu marksizm to dogmatyzm, skłonność do uproszczeń, cielesność, niwelacja indywidualności, niezrozumienie spraw wzniosłych.

A przecież marksizm, zarówno klasyczny jak i współczesny, nie jest niczym innym, jak wielką próbą doko-

niania racjonalnej syntezy, zharmonizowania jednostki ze społeczeństwem, ludzkości z przyrodą, człowieka z samym sobą. Nie nihilizm, ale afirmacja i radość życia. Nie scholastyka, ale wszechstronność i polot myśli. Nie elitaryzm, ale ludowość. Nie kult koszarowości, ale dążenie do pełnego rozwoju jednostki. Czy nie w tym się wyraża właściwy duch marksizmu? Czy głoszący ideę postępu marksizm może przemówić do współczesnej ludzkości innym językiem niż językiem humanizmu?

I czy nie jest to jego język macierzysty?

WINO DEMOKRACJI

Hitler podjął na wielką miarę próbę wyzwolenia człowieka z więzów racjonalizmu i etyki oraz wykorzystania wyzwolonych ujemnych wartości, jako napędowej siły historii. Okazało się, że zasób potencjalnej energii tego rodzaju jest zaskakująco. Rozładowanie jej wstrząsnęło

światem i groziło zniszczeniem go. Ale świat się ostał. Jaki jest sens zwycięstwa demokracji?

Kłamstwo może być silniejszym argumentem niż prawda, ale tylko dopóty, dopóki okłamywani chcą wierzyć. Trudno było przypuścić, że uciśkana ludność krajów podbitych ze chce wierzyć kłamstwu okupanta. Kuternoga Goebbels powinien był rozumieć sens przysłowia, głoszącego, że kłamstwo ma krótkie nogi.

Bestia, pozbawiona jakichkolwiek skrupułów, ma w walce przewagę nad człowiekiem, skrepowanym etyką, ale tylko dopóty, dopóki ów człowiek nie pojmie, że, mając do czynienia z bestią, poskramia się ją jak bestię. Hitler nauczył demokrację surowości i bezwzględności.

Rozmówiony w wojacze żołdak ma przewagę nad cywilem. Ale sekret współczesnej wojny polega na tym, że o jej wyniku decyduje nie rutyna, lecz strategia, potencjał społeczno-gospodarczy i duch wojska.

Strategia demokracji była lepsza, bo była trzeźwa, giętka i ścisła, podczas gdy strategia faszyzmu była odurzona mitem o własnej doskonałości, sztywna w swojej jednostronnej koncepcji błyskawicznego zastraszenia, niezdolna do realnej oceny sił i możliwości lekceważonego przeciwnika. Potencjał społeczno-gospodarczy demokracji był lepszy i trwalszy, bo sam ustrój był bardziej rozumny i sprawiedliwy. Duch wojsk demokracji, broniących własnej ojczyzny lub walczących o jej wyzwolenie, był lepszy i trwalszy niż duch wojsk napastniczych, podniecony w okresie sukcesów i rychło padający w okresie trudności.

Hitleryzm, pod każdym względem, padł ofiarą własnego szaleństwa. Wino uderzyło do głowy tym, którzy nazbyt szczerze nim szafowali. Zwycięstwo demokracji było racjonalne, jak racjonalne jest zwycięstwo ludzkości nad światem zwierzęcym lub opanowanie żywiołów. Nie siła fi-

zyczna, ale rozum wyodrębniły ludzkość z pierwotnego kłębowiska żywiołów. Nie gra rozpasanych instynktów, ale świadome ich poskromienie i ujęcie w ryzy etycznych kano-nów pozwoliły ludzkości wytworzyć ludzką kulturę. Nie wino irracjonalnego szaleństwa, ale chleb demokracji wygrał tę wojnę.

Ale demokracja zna smak wina. Wino demokracji to wiara w ostateczne zwycięstwo postępu i sprawiedliwości. Wiara irracjonalna, albowiem żadna znana nam konieczność nie gwarantuje nieustannego rozwoju ludzkości i ostatecznego zwycięstwa dobra nad złem. Przecież nawet dotychczasowe doświadczenie nie uprawnia nas do pewności, że ludzkość nie upadnie i nie ulegnie ostatecznemu zezwierzczeniu. A jednak wierzymy w postęp. A jednak wierzymy w ostateczne zwycięstwo sprawiedliwości. Uczony w swojej pracowni wierzy, że jeśli nie on, to uczeni przyszłych pokoleń pokonają

choroby dotąd nieuleczalne. Polityk wierzy, że chociaż mikt jeszcze nie uszczęśliwił ludzkości, będzie to kiedyś dokonane. Partyzant w lesie i je-niec w obozie wierzą, że jeśli nie sami, to kto inny w przyszłości pomści ich krzywdę.

Wiara demokracji nie jest wiarą fatalistyczną. Jest ona wyrazem zaufania do sił racjonalnych, postępowych, sprawiedliwych. Jest to w istocie rzeczy wiara w człowieka, wiara będąca najistotniejszą, emocjonalnym nurtem racjonalizmu. I nie jest przypadkiem, że załamanie się tej wiary staje się źródłem wielu osobniczych, pozaracjonalnych koncepcji.

U schyłku czasów pogardy, gdy przekroczyliśmy już próg kresu nocy, znów podejmujemy hasło wielkiego humanisty Maksyma Gorkiego, głoszące, że „człowiek to brzmi dumnie“.

Tylko, że wzbogaceni doświadczeniem, poprzedzamy to hasło krótkim „a jednak“.

Paweł Konrad

LIDIA ŁOPATYŃSKA

SURREALISTA MIMO WOLI

W księgarniach paryskich ukazała się, pod obiecującym tytułem „L'autre amant“, antologia dzieł Lautréamonta z przedmową Filipa Soupault. Wydawnictwo na czasie: surrealizm, obecnie w pełni rozkwitu, w tej niebezpiecznej pełni zapowiadającej zwykle nieunikniony schyłek, oddaje nim hołd pisarzowi, którego obrał sobie za patrona, z okazji stulecia jego narodzin.

Lautréamont jest problemem i zagadką zarówno dla krytyka jak i dla historyka literatury. W dziejach literatury nowoczesnej niewiele jest chyba pisarzy, o których by się tak mało wiedziało, co o nim. Najdokładniejsza monografia jego życia poświęcona, wykorzystująca dokumenty i wywiady ze „świadkami naocznyimi“, obejmuje kilka stron (Alicot, w „Mercure de France“ z 1 stycznia 1928), a zaczyna się od sformułowania tezy: „Izydor Ducasse nie jest fikcją“. Bo i tego trzeba było dowieść.

Znamy datę narodzin i śmierci Izydora Lucjana Ducasse, który przybrał romantycznie brzmiący pseudonim hrabiego de Lautréamont (1846—1870). Wiemy, że urodzony w Montevideo, przybył jako młody chłopak do Francji i tu uczęszczał do szkoły. Wiemy, że ostatnie lata spędził w Paryżu. To wszystko. To też Soupault, który z pietyzmem zebrał wszelkie dotyczące Lautréamonta dokumenty i napisał przedmowę do wydania jego dzieł w 1927 r., dzieła te właśnie wziął za podstawę swoich informacji, nie dostrzegając sprzeczności w traktowaniu „Pieśni o Maldororze“ równocześnie jako autobiografii poetyckiej i dokumentu surrealistycznego — resztę zaś uzupełnił wyobraźnią, identyfikując Lautréamonta z działaczem rewolucyjnym Ducassem. Hipoteza ta zresztą nie znalazła echa

Nie wiemy więc prawie nic o życiu pisarza, którego obrała za patrona jedna z głównych szkół poetyckich XX wieku. Nie wiemy, bo współcześni nie dostrzegli tragicznej sylwetki tego młodzieńca. Krytyka pominięła zupełnym milczeniem jego poemat prozą, „Pieśni o Maldororze“, z których pierwsza ukazała się w 1868, zaś następne w 1869. W dwadzieścia kilka lat później odkrył to dzieło Léon Bloy i objawił je światu w artykule o wymownym tytule: „Le cabanon de Prométhée“.

„Pieśni o Maldororze“ to dziwny poemat. Temat? Jak go opowiedzieć? Kim jest Maldoror? Romantycznym potępiencem, zbuntowanym aniołem, istotą, która ukazuje się w wielorakich postaciach: tajemniczego wędrowca, który na rumaku, otulony w czarny płaszcz, pędzi po świecie siejąc zglizdę — młodzieńca, który jest jednak stary jak świat, piękny jak bóstwo, ale też niesamowicie szpetny, obłąkańca, potwora strasznego brudnego i pożeranego przez wszy, albo po prostu młodego poety, który na poddaszu pisze niewprawnym piórem swoje poematy, przemierzając głodem i marząc o sławie.

Ma te wszystkie oblicza, i wiele innych. Jedno w nim jest tylko trwałe, jedno jest istotne: oto Maldoror rzucił wyzwanie Bogu i walczy z nim, walczy jak równy z równym, albo jak potępieniec, który, ulegając w nierównej walce, nie chce prosić o zmiłowanie. Walka ta jest czasem pojedynkiem, zwykłą bójką, gdy Bóg przybiera kształt olbrzymiej wszy albo starego rozpustnika — ale Maldoror walczy też inaczej. Oto stwierdził, że świat przez niedorzeczny kaprys Stwórcy skazany jest na cierpienie, i chce z Bogiem walczyć jego własną bronią — więc wędrowkę swoją przez wieki i kraje znaczy morderstwami, torturami i gwałtem, z Bogiem rywalizując okrucieństwem.

„Pieśni o Maldororze“ czyta się jak senne majaczenie, jak wizje obłąkańca, poprzez chaos niepowiązanych sprzecznych epizodów o dziwacznych bohaterach, poprzez namiętne i gorczyce pełne wybuchy liryczne, poprzez smagającą ironię i zawiłe rozważania na temat literatury w ogóle a powieści w szczególności (bo to ma być powieść sensacyjna!), a także poprzez dokuczliwe gładzenie na złość czytelnikowi. „Forma literacka? Ależ tu nie ma

formy. To jeszcze płynna lawa“ — pisał Bloy. Dziwne, sadystyczne obrazy wytryskują spod pióra młodego poety, niesamowite i przesycone nieświadomą symboliką erotyczną. Każda kartka tego poematu tchnie istnym opętaniem seksualnym, choć Maldoror buntuje się przeciw zwierzęcej naturze człowieka, a, gardząc kobietą, przekłada ponad nią — samicę rekina albo wesz, a w nienawiści swojej jedynie „boskich młodzieńców“ uznaje za równych sobie — i znaczy ich, tak jak Bóg jego samego naznaczył, raną na czole, symbolicznym znakiem winy.

Czy to jest poemat surrealistyczny? Czy ta bezkształtna, atektoniczna, nieskrepowana kontrolą rozumu, w dziwnych obrazach krystalizująca się proza jest wytworem „écriture automatique“?

Może będzie paradoksem stwierdzenie, że Lautréamonta uznano za pierwszego surrealistę przez nieporozumienie, wskutek przypadkowych cech podobieństwa. Bo pozory nieskrepowanego, niekontrolowanego strumienia natchnienia są w dziele Lautréamonta właśnie tylko pozorem, doskonale przemyślanym i pieczołowicie pielęgnowanym. Lautréamont pisze nie to, co mu dyktuje

podświadomość, ale to co mu strzeli do głowy — a to jest wielka różnica. I tak np. przerywa tok opowiadania zapowiadając, że zamierza się napić wody, i przez kilka stron będzie raczył czytelnika wariantami tego stwierdzenia. Prawdą jest, że niejednokrotnie zdania jego układają się w dziwne arabeski zupełnie przypominające te, które w stanie hipnagogicznym albo we śnie układa nasza myśl wyzwolona spod cenzury. „Rybi ogon będzie co prawda latał tylko przez trzy dni, ale niestety! Belka będzie mimo to spalona, a walcowato-stożkowata kula przebijie skórę nosorożca pomimo córy śniegów i żebraka“ — sentencja taka ma istotnie ten sam posmak, co np. Bretona „na moście huśtała się rosa o głowie kołki“, albo Eluarda „jego lewe ucho przytknięte do ziemi jest oszklonym pudełkiem“. Ale — te wszystkie nosorożce, mąty, rybie ogony, wszy, chrabąscze wielkie jak domy, skrzydlate słonie itp. Lautréamont wymyślił sobie na zimno i nadał im określoną, ściśle obliczoną rolę w akcji (najlepiej wiadać wyrachowanie efektów tego rodzaju w pieśni VI). To nie są wizje hipnagogiczne, tylko absurdy popelniane z premedytacją.

Dlaczego?

A dlaczego Lautréamont nadał tytuł „Poezji“ zbiorowi uwag krytycznych i ironicznych parafraz słynnych aforyzmów? Pascal rzekł: „Gdyby nos Kleopatry był odrobinę dłuższy, oblicze ziemi by się zmieniło“. Lautréamont ma inną wersję: „Gdyby moralność Kleopatry była mniej krótka, oblicze ziemi by się zmieniło. Nos jej nie stałby się przez to dłuższy“. Nie jest to wcale znieskształcenie surrealistyczne. Jest to doskonały dowcip, z młodzieńczej przekory płynący. Ogony śledzia i gnijące kraby są dowcipem mniej udalym, ale matematycznie wliczonym. Mamy na to świadectwo samego Lautréamonta w jego licznych i częstych dygresjach teoretycznych, które przerywają co chwila tok akcji, a świadczą o niezwyklej pomyślności młodego autora, jak też o jakimś bardzo szczególnym pojmowaniu estetyki powieści.

By przestać wierzyć w surrealizm Lautréamonta, wystarczy zresztą porównać wersję ostateczną jego pierwszej pieśni z jej pierwotną redakcją. Wszędzie tam, gdzie w wersji późniejszej występuje ośmiornica o jedwabnym spojrzeniu, ropucha o białych skrzydłach, czcigodna wesz, albo zgola cztery pletwy niedźwiedzia morskiego, w wersji pierwotnej czytamy: Dazet. Po prostu. Jest to nazwisko kolegi szkolnego Lautréamonta, któremu dedykowane są „Poezje“, a z którym przeprowadził wywiad Alicot. Zapewne Lautréamont spostrzegł, jak mało poetycznie brzmiało to nazwisko np. w ponurej scenie na cmentarzu o północy, więc je zastępuje malowniczymi, stylizowanymi obrazkami, harmonizującymi z ogólnym tonem poematu. Jest to świadoma hermetyzacja tekstu, obrona z rozmysłem maska. Można przypuszczać, że tam, gdzie w innych pieśniach ukazują się niedorzeczne potwory, w których się lubuje wyobrażnia Lautréamonta, nazwy ich występują zastępczo dla stylizacji i hermetyzacji.

A oprócz tego mamy jeszcze jeden, bezpośredni dowód, że Lautréamont świadomie układał swoje dzieło w sadystyczną groteskę. Jest nim list autora do wydawcy po ukazaniu się pierwszej pieśni.

— Przesadziłem trochę w skali, aby stworzyć coś nowego... Gdyby krytyka wyrażała się o mnie po-chlebnie, mógłbym w następnych wydaniach skreślić parę ustępów za bardzo mocnych.

Niestety, krytyka nie dostrzegła tego dziwnego poematu. Nie dostrzegła też żalosego błagania młodego poety:

— Nie bądźcie zbyt surowi dla tego, który dopiero próbuje swojej liry: dźwięk jej jest tak dziwny...

Dopiero w przeszło pół wieku później sława stała się udziałem Lautréamonta — kapryśnie przekształcając tego ostatniego z romantyków w surrealistę.

Lidia Łopatyńska

KAZIMIERA IŁAKOWICZÓWNA

GRÓB POLSKIEGO ŻOŁNIERZA

Najcichsza z cisz...

Dębowy pęknięty krzyż,

róża na grobie i powoje.

Nie przelata żadna chorągiew...

I co noc ktoś krzyże wokół rąbie

I kwiaty unosi jak swoje.

Co ręka cierpliwa ozdobi,

zdepce przechodzień, sponiewiera złodziej.

... Ale czasami przechodzi

najcichsza z cisz

i na ławce, lub na drewnianym płocie,

spocznie w przeilocie.

Oto słoń, oczy zasłania

i w serce żołnierskie przenika,

choć bez oblicza.

Anioł?...

Beatrycze? ...Nike?

ZAMORDOWANA RUMUNECZKA

W ziemi żalosnej leżąca

ma ściśnięte przez sen piąstki

i szumią nad nią gałązki

oszronione, opuszczone, ziębnące.

Przeszły po niej z łoskotem działa

i grób jej chciały zdeptać,

lecz jej — ciemna, ciężka i ciepła —

ziemia zgubie żelaznej nie dała.

Strzela snop liliowych ostróżek,

strzela kępka ostów liliowych,

jedno kwitnie u zimnych nóg,

drugie rośnie u kruczej głowy.

W ziemi leżąca żalobnej,

piąstki ma ściśnięte przez sen...

...I ptaszki co dzień bolesne

kwilią nad nią zziębniętą i drobną.

Cluj (Rumunia)

JULIAN PRZYBOS

Z PODRÓŻY PO CZECHOSŁOWACJI

LIBI SE VÁM U NÁS?

Gdy w wieczór przyjazdu samochody wiozące nas z dworca Wilsona skrzyły nagle na prawo, miałem wrażenie, jakby szofer kołem kierownicy przekreślił ogromny kontakt elektryczny. W jednej chwili rozchyliło się szeroko, rozbłysło drgając neonami — co? Fragment Pół Elizejskich spadających, jak w przedwojennym Paryżu, różańcami lamp i kolorowymi błyskawicami od Łuku Triumfalnego w dół, w wir aut i polysk asfaltu? To Václavské Náměstí, centrum Pragi. Ogarnęło mnie słodkie i naiwne zdumienie! Tutaj, po takiej wojnie, która zgasiła tyle radosnych złudzeń, ocalała przedwojenna rozrzućność blasku i dosytu! Tutaj trwała iluminacja radosnego spokoju — jest możliwa, jest takie, mimo że przeszła przez nie wojna, przedwojenne miejsce w Europie! Rozkosznie było zanurzyć się w obecnyom nagle — wspomnieniu wielkiego miasta. Właśnie, we wspomnieniu, jakby w nierzeczywistej zjawie, zagubionej podczas wojny. Przez cały czas pobytu nie mogłem się ośwoić — z czasem przedwojennym, płynącym w tym szczęśliwym kraju.

W drugim dniu zwiedziliśmy miasto, pokazano nam jedyny ślad wojny: spalony i już odbudowujący się ratusz. Ileż tętnących miłością opowieści usłyszeliśmy o tym pięknym zabytku. Oglądaliśmy go na filmie, deklamował o nim wibrujący wzruszeniem głos. Mieszkańców Pragi bawił i cieszył szczególnie słynny Orloj — stary zegar, z którego, z bitem godzin, ukazywały się idące w jasełkowym pochodzie figurki królów i świętych (jak w zegarze przy placu św. Marka w Wenecji). Nie dostrzegliśmy tego zniszczenia, gdyby nie przewodnik. Wzrok Polaka jest jakby zawalony gruzami Warszawy, ta gigantyczna ruina przesłania wszystko. Nie opłakaliśmy więc straty gotyckiego ratusza, ciesząc się szczęściem Czechów, że ominął ich nasz los. I gdy po raz pierwszy padło z ich ust pytanie, które jeszcze tyle razy słyszeliśmy potem: czy jest nam u nich miło, czy się nam podoba — odpowiedziałem z radością: Velmi mi se libi.

Szczęśliwy kraj, który omijały ciosy wojen, a rządność i pracowitość mieszkańców rozprowadziły dostatki kultury równomiernie między lud we wszystkich zakątkach państwa. Gośćnikami — ale jakimi! — szosami tak gładkimi, jakby były wygładzone z jakiejś platońskiej idei drogi, jechaliśmy przez miasta, miasteczka i wsie czeskie i nie dostrzegaliśmy różnicy cywilizacyjnej. Opowiadano mi, co rzekł na pytanie „Libi se vám...?” — pewien pisarz radziecki: „Urzeczywistniłście jedno z dążeń socjalizmu: zniściście różnicę między miastem a wsią”.

Czesi dokonali jeszcze trudniejszego dzieła, wyrównali między sobą różnice myślenia politycznego o swoich sprawach; czeski komunista nie różni się w poglądach na zasadnicze zagadnienia bytu państwowego od czeskiego narodowego socjalisty. Na temat stosunków czesko-polskich prosił ludzi z prowincji mówili to samo, co minister oświaty czy informacji. Ze musimy się pogodzić, że od tej zgody zależy ich i nasz byt, że nie ostoi się Polska bez Czechosłowacji, a Czechosłowacja bez Polski.

Pragnienie tej przyjaźni jest w Czechach powszechne.

Pamiętam rozmowę z przygodnym mieszkańcem Telč (szliśmy ślicznym barokowym rynkiem, wydłużonym jak ulica, w tym miasteczku schludnym i wdzięcznym, jakby stworzonym dla zabawek i ich dzieci). Mówił, że mamy do rozwiązania dwie sprawy: Śląsk Cieszyński i... tutaj się zawahał, zrezygnował i machnął ręką. Wiem, co chciał dodać: Kłodzko (działał przecież w Pradze komitet pomocy dla uchodźców z Kłodzka), ale serdeczna gościnność skłoniła go do powstrzymania się od tej pretensji. Halas powtarzał, że stanowiący na moście granicznym w Cieszynie, my poeci we dwóch rozstrzygnęlibyśmy w mig sprawę Zaolzia ku obopólnemu zadowoleniu. Myśl, że sprawy sporne winny być tak rozstrzygnięte, aby żadna ze stron nie czuła się pokrzywdzona — rozwialiśmy nieraz w przemówieniach. Wymaga to wzajemnej ustepliwości, wzniesienia się ponad doraźną koniunkturę polityczną, w której jedna lub druga strona może mieć większe szanse w rokowaniach. Chodzi przecież o przyjaźń na zawsze, o taką zgodę, aby to, co nas do tej pory dzieliło, stało się jeszcze jednym czynnikiem łączności, a traktat sojuszu — dokumentem czynnego braterstwa. Toteż propozycja Halasa — powtarzał ją za Tuwimem — bardzo mi się podobała.

Na ostatnim spotkaniu z dziennikarzami czeskimi zadano nam pytanie: co się nam nie podobało? Wywiad nie miał sztywności oficjalnych deklaracji, gawędzieliśmy z obopólną szczerością, a nawet z wylaniem. Wtedy jeden z dziennikarzy opowiedział przygodę ze swojej przedwojennej podróży po Polsce. Zwiedzał Kaszuby i spotkał się z trudnościami ze strony władz polskich. Z kłopotów wybrał go jakiś porucznik, który umiał trochę po czesku, zaopiekował się nim troskliwie i ułatwił dalszą podróż. — Skąd pan umie po czesku? — pytał Czech. Ze Śląska Cieszyńskiego — ja was Czechów polubiłem w roku 1920, kiedyśmy do siebie strzelali. — Ta anegdota nie wszystkim się podobała, ale ja dostrzegłem w niej sens głębszy. Zatajanie nie leczymy urazów, należy je przezwyciężyć w szczerych wyznaniach przyjaźni, żeby ręce wyciągnięte do zgody nie odczuły już w uścisku bliźni.

Co nam się nie podobało? Andrzejewski wytknął kolegom czeskim pewien brak krytycyzmu w ocenie zjawisk życia literackiego, ja zwróciłem uwagę na nieobecność ostro zarysowanych kierunków i na brak walk literackich. O bujności życia literackiego stanowi obfitość różnorodnych prądów. Jedność narodowa urzeczywistniona w polityce — jest rzeczą zbawioną. Jedność poglądów na sprawy sztuki — wiedzie do szaryzmy i zastój. W ciągu miesiąca naszego pobytu w Czechosłowacji byliśmy świadkami znamiennej przebiegu pewnej akcji kulturalnej. W pierwszą niedzielę przeczytaliśmy w „Svobodných Novinách”, piśmie związków kulturalnych, deklarację grupy intelektualistów wyrażającą do zrzeczenia się w organizacji „Kulturna obec” — Gmina kultury. Deklaracja podkreślała postulat służby społecznej jako naczelną zasadę twórczą; pisarz powinien wy-

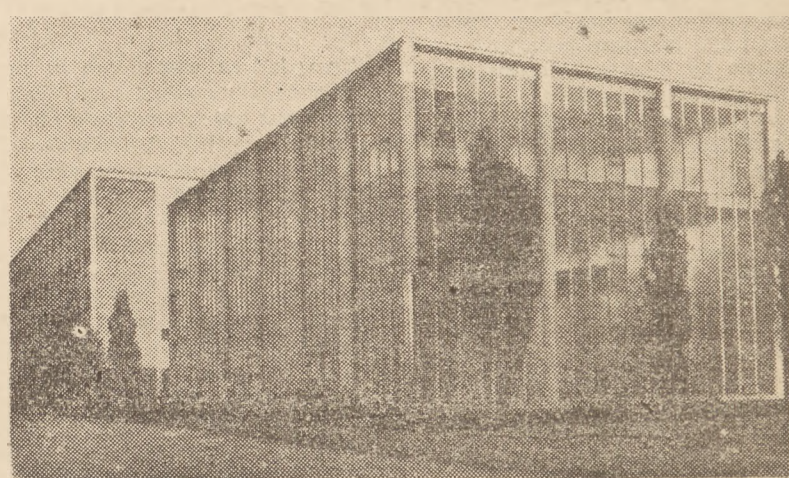
rażać tęsknoty i pragnienia mas. Za tydzień ukazała się w tymże piśmie deklaracja zrzeszenia „Kulturni svaz”. Głosiła, że twórczość artystyczna winna być wolna od polityki, autonomiczna i bezinteresowna. Wydawało się, że powstały dwa przeciwstawne obozy, że przyjdzie między nimi do polemicznej walki, że zrobie się z tego ruch, nowe idee i nowe dzieła. Lecz w trzecią niedzielę odezwali się — młodzi, lejąc wodę na ogień: wzywali do zgody i zjednoczenia, a w czwartą apel do zgody ponowili — starzy: profesorowie uniwersytetu. Apel poskutkował, oba obozy pogodziły się, tworząc jedną wspólną organizację. Zapewniano mnie, że nie słumi to polemiki, że toczyć się ona będzie w łonie tej jednej organizacji. Dałem się przekonać, gdyż uświadomiłem sobie raczej polityczny niż artystyczny sens deklaracji. Podobało mi się. Podobało mi się i to, że, rezygnując z własnego zdania, oba te stowarzyszenia umiały w sprawach organizacyjnych porozumieć się tak szybko, jakby się umówiły, by ich spór i zgoda odbyły się na naszych oczach.

Nie można chyba przeciągnąć gościnności z jaką nas podejmowano. Pisarze czescy i słowaccy odwiedzają nas na wiosnę, oby ocenili równie wysoko nasze najlepsze chęci! — bo niesposób im dorównać w wielkopięknym splendorze i rozmachu środków reprezentacyjnych. W Czechach posiadają pisarze wspaniałe pałace, odnowione kosztem wielu milionów. Dobříš. W pięknej, falującej łagodnymi pagórkami okolicy, w parku tak okazałym, że można w nim pobłądzić. Pisarze słowaccy przyjmują w równie pięknym, choć skromniejszym rozmiarom zamku po jakimś grafie węgierskim w Pudemericach koło Bratysławy. Ale wszędzie, nawet w najmniejszym miasteczku, serdeczny wysiłek gościnności czeskiej i słowackiej i gorące pragnienie zapisania się w naszej pamięci — były wzruszające. Wszędzie spotykaliśmy starych polonofilów, nie było miejscowości, w której by się nie znalazł ktoś, kto albo mówił po polsku lub był w Polsce i wyniósł z niej miłe wspomnienie. Nieprzyjazne stosunki sąsiedzkie w okresie międzywojennym nie sprzyjały hodowli przyjaźni, ale żyją jeszcze starzy entuzjaści polskości, jak tłumacz wielu poezji polskich, Józef Karnik i prof. Kojala w Bernie lub prof. Kral w Ostrawie. W Taborze spotkaliśmy wybitnego socjologa E. Chalupnego. Siwe oczy omglone binoklami, w twarzy pomarszczonej, jakby wiecznie zatroskanej jakąś myślą. Okazało się, że ten uczony przetłumaczył i wydał własnym nakładem „Treny” Kochanowskiego. Naszym przyjaciółm-tłumaczom i czeskim polonistom w Pradze trzeba by poświęcić chyba pean pochwalny. Ich działalność jest godna podziwu. Trudno wyrazić to, co dla nich czuliśmy, innym zwrotem niż ten, którego dźwięki pieściły moje ucho: Velmi nám se libilo.

KRAJOBRAZY RUCHOME

Czasu, który rozwijała nasza podróż po Czechosłowacji, nie zmieściłbym w żadnym kalendarzu. Obfitość i różnorodność wrażeń rozszerzały chwilę, dzień zawierał więcej, niż zdołał pomieścić wrażliwość i utrwalić pamięć. I oto teraz, gdy przypominam sobie ów miniony miesiąc, wydaje mi się, że dział się w jakimś ładowym a niewymiernym czasie.

Nie liczyliśmy czasu w Czechosłowacji na dni, ale na krajobrazy i na spotkania serdeczne. Spotkania serdeczne to — tak je widzę w pamięci — setki ruchliwych scen, wśród których się poruszamy jako główni aktorzy tego teatru gościnności i przyjaźni. Poznaliśmy tylu intelektualistów czeskich i słowackich, stoczyliśmy tyle rozmów i dyskusyj, wdaliśmy się w najżyźniejsze spory i wyznania, że jeśli nasza podróż miała na celu to, co się nazywa zadziergnięciem nici i więzów kulturalnych — sądzą, że nie tylko ja, ale i moi koledzy czują się jak członka tkackie. Namotaliśmy tych nici i tych więzów nierozwalnych więcej, niż



Bloki fabryczne w Zlinie

w najróżowszym przypuszczeniu mogliśmy się, wyjeżdżając, spodziewać. Pierwszy i czwarty tydzień wypełniła nam Praga, dwa środkowe tygodnie miesiąca spędziliśmy w podróży, zwiedzając południowe Czechy, Morawy i Słowację. Doliną Wagu dotarliśmy do Štrbskego Plesu w Tatrach i aż pod Lomnicę.

Krajobrazy czeskie i słowackie... Krásná česká země — oto ustawiczny refren poezji czeskiej i stały zwrot w ustach Czechu od ministra informacji do robotnika w zakładach Baťa. Refren prawdomówny. Nie byliśmy wszędzie — kto kiedy nawet we własnym kraju był wszędzie? — ale wstęga naszej drogi wiała się wśród widoków, które na każdym zakręcie prosiły o Pronaszke i Ehibischa. Nie kończąca się rewia motywów malarskich w gorących kolorach jesieni. Dostrzegaliśmy często w pejzażu tę dla oka turysty tak pociągającą małowidłość, którą malarze określają przymiotnikiem pittoresque, unikając jej jako motywu, bo zbyt już jest przez naturę — namalowana. Np. słynny zamek Karlstein. Kamiennie wyniesiony w górę z wysokiej skały oprzecznej w koło głębokimi dolinami. Rwa się z niej — dokąd spojrzeć — strone pagóry, lasy, wąskie doliny — aż po najdalsze zarysy horyzontu. Albo uroczą dolinką wiodącą do groty Macochy koło Brna — albo Tabor, warownia Žižka, stolica husytów, miasto położone w krajobrazie tak nieprawdopodobnie obronnym, jakby był zamknięty w natury przez proroków (husyci mianowali okolice nazwami biblijnymi). Na wzgórzach, stromym i rozległym, okrażonym rzeką. Albo...

Sięgam do swoich notatek, wodzę okiem po linii naszej drogi, nakreślonej na mapie przez przewodnika z czeskiego ministerstwa informacji — i przebiegając wśród obrazów nasuwających się na siebie jak zdjęcie na zdjęcie, poddaję się refleksjom o naturze pamięci, o biegu przypominania. Wydaje mi się ono tak bliskie tokowi tworzenia, sposobom układania i wiązania obrazów wyjętych jedynie z fantazji! Sądzę, że natura wyobraźni twórczej wynika ze szczególnego, innego u każdego pisarza, sposobu zapamiętywania i przypominania. Są pamięci jak ściany wystawowe, każdy obraz tkwi w nich zawieszony na swoim stałym kołku, ale są też pamięci-karuzele, w których obrazy najędzają na siebie, zamieniając świat w taniec barw i płynnych linii. Są pamięci selektywne, zatrzymujące tylko centralne partie obrazów, tylko to, co najważniejsze, i pamięci-wory bez dna, z których wyciągnąć można na zawołanie wszystko, czego się chce i nie chce. I są pamięci zbiorcze, syntetyczne.

Moja pamięć ani zbyt dokładna, ani trwała jest w szczególnie sposób wierna. Buduje ze wszystkich doznanych scen i obrazów — według stopnia towarzyszącej im emocji — jakby dramat ze szczytowym obrazem-napięciem. Hierarchia i wyrazistość faktów uzależnione są od tego wspomnienia najwyższego. Wszystko zmierza do niego, wszystko od niego w przypominaniu płynie, a co sprzecza się z nim, co nie odpowiada jego wyrazowi plastycznemu i barwie uczuciowej — zanika bardzo szybko. Czy ginie na zawsze?

...Mostem Karola wśród dwusze-

gu poczerńniętych barokowych świątyn idę z oczyma niesionymi przez linię naniebną Hradczan i zarys wzgórz Petřina. Spoza drzew jawia się dwie smukłe wieże radiostacji — przejrzyste, jakby były krystalizacją powietrza, jakby lot architektonicznych pionów i pochyłości — dopełnia sama oddal, tu tylko, na tym niezabudowanym wzgórzach parkowym, rozsuwalna i wolna. Ze wzgórz leje się w słońcu pataka kolorów jesieni w błyskającą wzdłuż zwierciadło Wełtawy. Szukam śladów wzruszenia, które mnie wiodło tędy przed dziesięciu laty — i barokowy świątyn obok miejsca, skąd zrzucano św. Jana Nepomucena do rzeki, przenosi się na rynek miasteczka Krumlov. Stoi na kolumnie w środku rynku — w miejscowości jakby wyjętej ze snu Kafki. Zamek krumlovski piętrzy się nad przepaścistym urwiskiem, szara skała dźwiga się pionowo z rzeki jak odrąbana z piramidy ściana. Tak jak widzę przez szczylinę spadającej uliczki w tym miasteczku starym i pochyłym, zagubionym we wzgórzystym krajobrazie. Albo: ta ściana wznosi się w górę jak kurtyna, która zwinawszy się, ma ziemi — odsłonić niebo. To uczucie zawieszenia nad przepaścią i sięgania nad widnokręś towarzyszyło mi w ciągu zwiedzania zamku, w wędrówce przez długie ganki, zasypane z dwóch stron blaskami jesiennych drzew parku. Dalej — park zgęszcza się w lasy, coraz wyżej podnoszące się na wzgórzach, bliżej świetlistości, liliowiej w oddali. Jakież fortissimo tego doznania wznoszących się linii i opadających barw? Doznania, którego składniki są tak różnorodne jak melancholia rzeczy zamierzających, zagubionych w czasie — i poryw wysokości.

Z Bratysławy wjeżdża się w dolinę Wagu niepostrzeżenie, lekko pochyłe stoki rdzawych winnic znikają niedaleko za miastem. Rozsuwa się równina tak szeroka — jakby zepchnęła do niepoznaki na sam kraj widzenia dalekie wyniosłości. Powoli, w miarę godzin zbliżają się lesiste wzgórza, ich kontur określa niebo, zwięza je łagodnie i stopniowo — aż koło Strečna wjeżdża się w kręty i ciasny wąwóz, gdzie na Wag napierają skały gór z tak bliska, że ich ściany zwierają się na zakrętach. Zdaje się, że to dopiero pęd auta rozpruwa je i odrzuca na boki, jeszcze jeden zakręt, wąwóz się rozluźnia i oto znów szeroka dolina w obramieniu rozległych gór, urozmaicona białymi plamkami czarujących miasteczek słowackich. W pamięci pozostawała mi ta droga — tak łatwa i lekka — jak szerokie zatoczenie ramieniem, jak ruch ręki, która zatrzymawszy się w powietrzu, błysnęłaby na palcu szmaragdem. To Štrbské Pleso.

(Podjeżdżając pod Tatry rozmawialiśmy z Nałkowską o brzydocie gór. Kult gór, zaszczepiony przez romantyków — umawialiśmy się przekornie — był wyrazem antyhumanistycznej postawy samotników. Egoistów uciekających od ludzi. Cóż może być po ludzku pięknego w skalistej pustyni, ponurej i groźnej? Imponowały pierwszym zdobywców szczytów górskich ich wymiary, lecz piękna dzieła natury i sztuki nie mierzy się jego wysokością. Mieszkańca drapaczów chmur nie emocjonuje przepaść. Człowiekowi współczesne-



Rynek w Telči

mu, który opanował samolotem piąty ocean: powietrze, nie może imponować jeszcze jeden tysiąc wysokości. Znałem malarza, dla którego góry były tylko guzami i wrzodami na ziemi; pastwił się nad nimi w swoich obrazach, rozkładając je na posiekane liniami plamki, jakby te wrzody rozciągał lancetem pędzla. Czy nie należało by odwrócić obrazu wchodzenia na szczyt na obraz — niwelowania, walenia gór, wyrównywania różnic? Np. zamiast mówić, że smarki wspinają się na szczyt i nie mogą go osiągnąć — powiedzieć w wierszu: Drzewa uciekają ze szczytu w dolinę — z obrzydzenia do martwej skały. Tylko zielone wzniesienia, tylko wzgórza pokryte lasami są piękne. Martwota odstrasza i nie może się podobać. Pseudoklasyści mieli rację.

Lecz oto powietrze, które uskrzydla i całe miasta sanatoriów pod Tatrami. Jeden oddech na tych wzniesieniach — może zdmuchnąć wnioski najbardziej antygórskiej estetyki).

W wagoniku kolejki linowej, która nas wiozła pod Łomnicę, we mgle, na pewnej wysokości przestrzelonej słońcem, najbliższe czuby smreków utrzymywały poczucie rzeczywistości tyle tylko, żeby można było uwierzyć w różę, opale, zmatowiałe złocistości. Nie było świata, był płas kolorowego nawału niczego. Nad kłębowiskiem mgieł dział się o biokach zachód słońca nad Łomnicą. znikliwe oranże i fioleto, to tłumiona Wielka, niekształtna plama czerwieni rozsączanej na obrzysach skał na przez chmury, to rozjarzana przez odsłaniający wiatr. Doznałem po raz pierwszy wrażenia: wysokości słońca o zachodzie. Słońce nie zachodziło, ale wznosiło się, gubiło u szczytu jak niewyraźny balon i niktło w górze obłoków. Nie zachód, lecz wschód w zenit, wniebowstąpienie słońca. I wtedy usłyszałem z niechęcią, bo burzył ciszę, wariant refrenu: „Pékna je slovenská zemé“. Na tym doznaniu jak na szczytowym tonie melodii zawisł w mojej pamięci kraj-obraz czechosłowacki.

(W stolicy szewców, Zlinie, wywieziono nas błyskawiczną wiałdą na najwyższe piętro olbrzymiego gmachu administracji. Rozległa kotłownia, czkrywdona leśtynami wzniesieniami, przez którą jak kolumny szły w równych odstępach ogromne bloki fabryczne łagodzone miękkością drzew w rozplanowanej przestrzeni. Tego widoku z góry nie mogłem w żaden sposób pogodzić z obrazem wnętrza fabrycznego. But za butem wynikał tam w łaskocie maszyn z dion robotników wśród takiej uwagi i pospiechu, jakby w nim natychmiast miała spocząć stopa milionogi. Dowiedziałem się, że przed unarodowieniem tej największej na świecie wytwórni obuwia postrachem robotników była żona jednego z Batiów. Prowadziła szczegółowy wywiad z życia i sprawowania się pięćdziesięciu tysięcy robotników. Wyła z rozpaczy, gdy bomba rozsyłała jej kartotekę. Wypędziliśmy ją stąd — mówił robotnik i tupnął butem tu wyjścia z gmachu: Zemé česká dla lidu! — „Krásná zemé“ przytaknąłem i w tej chwili obraz wnętrza przymierzylem do górnego widoku Zlina — tak jak podeszwę schodzącego z góry — do piasku alei parkowej. W tym mieście, które jest w równej mierze fabryką, co podgórskim parkiem i ogrodem. Dziwaczne wrażenie, bez którego doznany pejzaż kręczyłby boso samotny i nie ułożyłby się zgodnie z całością w mojej pamięci).

Julian Przybóś

JÓZEF CHAŁASIŃSKI

Polska leży w Europie

I

Tym, którzy uczestniczą w przeobrażeniach współczesnego świata, trudno jest ocenić znaczenie obecnej chwili historycznej. Coś się skończyło i coś się nowego zaczyna. Nie wiadomo jednak dokładnie, ani co się skończyło, ani też — co się nowego zaczyna. Nie ma jeszcze perspektywy historycznej, koniecznej do tego, aby wydarzenia bieżące można było umiejscowić w historii świata cywilizowanego i poszczególnych narodów.

Zaden naród nie został przy tym tak głęboko wstrząśnięty w swych podstawach historycznych, jak naród polski. Koniec idej jagiellońskiej i nawrót do Polski piastowskiej — to jest hasło do rozpoczynania na nowo po kilku wiekach zmarnowanej historii — to hasło do mobilizacji sił dla niesłychanego wysiłku, od którego zależy przyszłość narodu. Na jakich podstawach?

O Polsce jagiellońskiej myśli się u nas w kategoriach narodowego samoubóstwienia, w kategoriach moralnej wielkości narodu, który na drodze dobrowolnej misji rozszerzał zakres wspólnej organizacji państwowej. Antoni Chołoniewski w znanej książce „Duch dziejów Polski“ widział w tym najwyższy i najdoskońszszy przejaw polskiego ducha, „drogę specyficzną polską, nigdzie indziej nie spotykaną w tej postaci...“ Glorifikację moralnej wielkości Polski nie trudno zrozumieć na tle życia narodu, który pozbawiony własnego państwa, przez wiele pokoleń oduczał się myśleć kategoriami politycznego realizmu. Polska pomniejszona i pomniejszająca się materialnie szukała swojej wielkości w idealnej sferze ducha.

Zmiana naszego stosunku do Polski jagiellońskiej nie leży na płaszczyźnie tej duchowej wielkości Polski. Nie chodzi, bynajmniej o to, aby, idealistycznej interpretacji historii Polski przeciwstawić taką interpretację materialistyczną, w której całe dzieje szlacheckiej Polski byłyby niczym więcej, jak tylko wyrazem klasowego interesu szlacheckiego. W historii nie działają tylko materialne interesy, jak również nie działają nigdy tylko pobudki idealne. „Idealizm nieziemski nie jest... alfa i omega historii, opisującej dzieje ludzi, tak dobrze ich idealnych dążeń, jak ich spraw i interesów“ (St. Zakrzewski, „Zagadnienia historyczne“, t. I, str. 182).

Pojęcie Polski jagiellońskiej obejmuje wiele historycznych elementów narodu polskiego i jego kultury. Poddając rewizji polityczną ideę jagiellońską nie wykreślamy przecie z historii narodu polskiego całej jagiellońskiej epoki. Nawet w zakresie polityki nie chodzi o całość polityki, obejmującej Grunwald i unię z Litwą, lecz tylko o ideę ekspansji na wschód, absorbującej siły państwa ze szkoda dla niego wobec śmiertelnego niebezpieczeństwa krzyżackiego.

Historycy nie od dzisiaj zwracają uwagę na to, że unia Polski z Litwą wiązała się z ogólną polityczną sytuacją Europy, w której poważne czynniki były zainteresowane w tym, aby skierować Polskę na wschód i w ten sposób uniemożliwić jej aktywność polityczną na zachodzie i północy.

„W tym związku Polski z Litwą — pisał wybitny historyk Stanisław Zakrzewski — są dziwne rzeczy — bardzo jednak odległe od chwilowego sentymentalizmu ogromnej większości poglądów naszych na unię. Zanotował Długosz, że nikt tak nie zabiegał o dojdzie do skutku unii horodelskiej, jak król Zygmunt Luksemburczyk. Ratował w ten sposób zakon krzyżacki, zagrożony po Grunwaldzie, bał się, by nawała Polska, oparta o Litwę, nie zażądała rachunku z ziem nadodrzańskich. W interesie zatem ówczesny Niemiec leżało zacieśnienie formy związku między Polską a Litwą. A więc tkwi w tym wielka międzynarodowa kombinacja.

„W rozpatrywaniu dziejów Polski — kontynuuje Zakrzewski — zapominamy zbyt często, że ta „wiel-

ka rzecz“, jak o niej słusznie wyraził się autor za poetą, rosła i rozwijała się nie na parafii za siedmioma górami, ale w ścisłym związku z rozwojem międzynarodowych problemów. A niejedyn nasz wielki zamiar i wielka nasza idea wcieliła się w czyn dzięki zbiegnięciu w jedno łożysko — naszej energii, rozlicznych strumieni i strumyków z różnych ognisk ówczesnego świata i ówczesnej wielkiej polityki“ (St. Zakrzewski. Op. cit., t. I, str. 182—183).

Zamiast ostatecznego złamania Krzyżaków i wcielenia Prus do Polski król Zygmunt I zadowolił się hołdem pruskim (1525), który oznaczał przegraną, a nie zwycięstwo. Na mocy traktatu Prusy zostały przy brandenburskiej dynastii. „Dla chwilowej korzyści i miłego spokoju — pisał Bobrzyński — podpisano hańbiący traktat, który niejako był przyznaniem się, że już Polska żadnej wielkiej sprawy podjąć i przeprowadzić nie zdoła“ (M. Bobrzyński, „Dzieje Polski“, t. II, str. 31).

Przechodząc do dziedziny kultury, nie trzeba dowodzić, że Polska jagiellońska obejmuje złoty wiek kultury polskiej, początki i równocześnie szczytowy rozwój literatury podległej Polski. Polska jagiellońska to nie tylko unia horodelska i unia lubelska, lecz także — Mikołaj Rej i Jan Kochanowski.

Pomiędzy Polską piastowską i jagiellońską jest różnica politycznej orientacji pod względem kierunku ekspansji. Nie ma jednakże różnicy, gdy chodzi o zasadnicze miejsce Polski w ramach cywilizowanego świata. Polska jagiellońska, tak samo jak Polska piastowska, kształtowała się w ramach kulturalnej wspólnoty Europy zachodnio-chrześcijańskiej. Za Jagiellonów Polska była najbardziej na wschód wysuniętym krajem, z którego promieniowała rozwijająca się kultura ogólnoeuropejskiego humanizmu. Nie byłoby tego ruchu w Polsce, gdyby nie sła promieniowania ogólnoeuropejskich ośrodków nauki i kultury. Obchodzony w 1922 r. jubileusz siedmiu wieków istnienia uniwersytetu w Padwie, z którym związane są wielkie nazwiska Dantego, Petrarki, Galileusza i innych, był świętem kultury całej Europy — i Polski. W szczególności w XVI w. polska młodzież garnała się licznie do tego uniwersytetu. Kształcili się tutaj: Hozjusz, Jan Zamoyski, Jan Kochanowski, Górnicki, Janicki, Kromer, Nidecki, Sebastian Petrycy i wielu innych. „Okolo 49 późniejszych biskupów i opatów, 38 wojewodów i kasztelanów, 56 urzędników ziemskich i posłów sejmowych było poprzednio uczniami uniwersytetu prawniczego w Padwie“ (St. Windakiewicz, „Polacy w Padwie“, „Przegląd Warszawski“, lipiec 1932, str. 11). W XVI w. studiowało w Padwie około 1400 Polaków.

Po rozkwicie złotego wieku następuje upadek czasów saskich, ciemnota i obskurantyzm, sarmatyzm i jezuityzm. „Polska przedmurze chrześcijaństwa“, Polska legitymująca się wiedeńską wyprawą Sobieskiego, to była już Polska upadająca. To hasło nie zrodziło się z rozkwitu i aktywności kulturalnej, lecz z duchowego i materialnego nierobstwa, które, nie mając innych tytułów do wielkości, widziało ją w samym fakcie wyznawania rzymsko-katolickiego obrządku. „Za króla Sasa jedz, pij i popuszczaj pasa“ — w takiej atmosferze Polonus semper fidelis zrobił sobie tytuł do wielkości z tego, że był wierny Kościołowi rzymsko-katolickiemu. To był jedyny wniosek, jaki zadowolony z siebie szlachecki opół potrafił wyprowadzić dla siebie i dla swojego narodu z faktu — że Polska leży w Europie.

II

Nie jest to rzecz przypadku, że proces narodzin nowoczesnego społeczeństwa polskiego w dobre wielkich reform końca XVIII stulecia dokonywał się pod znakiem przemownego wpływu kultury obcej — francuskiej; inaczej być nie mogło. Naród szlacheckiego sarmatyzmu mógł się stać narodem nowoczesnym

tylko na drodze europeizacji. W ten sam sposób przez wielką akcję europeizacji zapoczątkował Piotr Wielki rozwój narodu rosyjskiego. Aby się stać narodem nowoczesnym, trzeba się było zeuropeizować. Renesans polskiego narodu, znajdujący wyraz w wielkich reformach XVIII w., nie wyrastał z ducha szlacheckiego sarmatyzmu, przeciwnie, był mu wyraźnie wrogi. Wyrastał on z przewyciężenia sarmatyzmu na drodze wkraczania Polski do kulturalnej wspólnoty Europy.

Głęboki przełom przyniosła epoka romantyzmu. Z romantyzmem wiąże się rozwój polskiej idei narodowej. „Bóg chciał mieć narody jak ludzi, indywidualnymi“ — mówił Kazimierz Brodziński w słynnej mowie „O narodowości Polaków“, wygłoszonej na uroczystym posiedzeniu Towarzystwa Przyjaciół Nauk, dnia 3 maja 1831 r. Idea narodu przenika cały romantyzm. Mochnacki, mając na uwadze ten fakt, pisał, że dopiero literatura romantyczna była literaturą narodową. Z tym prądem romantyzmu związany był także Lelewel. Historia w ujęciu Lelewela nie tylko przestaje być historią dworską — przestaje być również historią państwa, a staje się historią narodu.

Przełomu, jaki się dokonał w strukturze narodu polskiego na przejściu od XVIII do XIX w., nie można sprowadzać do zagadnienia romantyzmu. Samo zagadnienie romantyzmu należy również rozpatrywać w historycznej perspektywie bardziej ogólnej. Romantyzm to nie było tylko duchowe przewyciężenie oświecenia, to nie była tylko duchowa nacionalizacja literatury, to nie była tylko idea narodu jako mistycznej wspólnoty ludowej — to była także sprawa europeizacji Polski. Romantyzm to nie tylko idea narodu, lecz także idea Europy. Romantyzm to nie tylko trójca naszych wieszczów, lecz także Mazzini, Młoda Europa i — Wiosna Ludów.

Romantyzm był potężnym prądem europeizacji polskiego narodu i polskiej kultury. Był to wielki europejski szlak naszej kultury. A równocześnie jest to uderzająco jaskrawy przykład centralnego problemu naszej kultury narodowej. Problem ten polega na tym, że nasza europejskość epoki romantyzmu, to była europejskość naszej faktycznej lub duchowej emigracji. Mieliśmy zawsze taką emigrację w Europie, podczas gdy chłopski naród polski znajdował się poza Europą.

Naród jest wszędzie przedmiotem wiary społeczno-religijnej. Naród jest wszędzie przedmiotem społecznej mitologii. W Polsce jednakże rola narodowego mitu stworzonego przez romantyzm była zupełnie swoista. Wystarczy spojrzeć na mapę sieci kolejowej Polski, by zrozumieć od razu, że kraj o takiej sieci kolejowej, straciwszy wiarę w swoją integralność i niepodległość duchową, straciwszy wiarę w Króla-Ducha kultury polskiej, straciłby naczelną czynnik wewnętrzną spójni.

Polska w swojej strukturze techniczno-gospodarczej nie była nigdy jednolitym, nowoczesnym organizmem narodowym. Polska jako naród nie stanowiła nowoczesnej jednostki działania cywilizacyjnego. Co łączyło w całość Poznańskie, Galicję i Królestwo oraz Kresy? Czy organiczna całość warsztatów pracy? Czy pod tym względem Polska była i jest podobna do Anglii, Francji lub Ameryki? Inaczej mówiąc, czy Polska jako całość techniczno-gospodarcza ma swoje miejsce w cywilizacyjnej rzeźbie Europy i świata? Nie! Polska była pograniczem cywilizacji, na którym zachodnia cywilizacja zdobywczej pracy spotykała się z kurną chatą i szlacheckim dworkiem.

Polska mitologia narodowa szła w parze z prymitywizmem struktury gospodarczej kraju. Polskie mity narodowe cechuje niesłychana jednostronność i ubóstwo historycznej treści. Tradycja społeczna dawnej Polski jest albo szlachecka, albo chłopska; a jedyna tradycja wspólna — narodowa, chłopsko-szlachecka — to społecznie uboga tradycja

kościelno-katolicka. Matka Boska Królowa Korony Polskiej to największy symbol duchowej jedności narodu polskiego. Ale czy to wystarczy dla nowoczesnego narodu? Czy jedność duchowa narodu, realizująca się w „Sodalitce Marianańskiej“ i w „Ryccerzu Niepokalanej“, wystarczy w naszej epoce potężnej rywalizacji narodów we wszystkich dziedzinach kultury?

Czy z faktu, że Polska leży w Europie, wolno nam wyciągać te same wnioski, jakie wyciągał szlachecki opół XVII w., Polonus semper fidelis, redukujący bezmyślnie historyczną misję narodu do jego wierności Kościołowi? To nie jest atak na religię ani na chrześcijańskie podstawy kultury polskiej. To jest wyraz niepokoju, wynikającego z przeświadczenia, że z położenia Polski w Europie nie wyciągaliśmy nigdy właściwych wniosków.

III

W historycznym ukształtowaniu narodu polskiego jest kilka zasadniczych etapów. Najpierw przyjęcie chrześcijaństwa. Wprowadziło nas ono do europejskiej wspólnoty i organizację państwową podporządkowało uniwersalnej idei — która była zarówno czynnikiem społeczno-politycznej i kulturalnej unifikacji Europy, jak też stwarzała płaszczyznę rywalizacji między narodami. Potem przyszedł potężny rozkwit humanizmu, który, ogarniając całą Europę, objął także Polskę. Jest to szczytowy punkt udziału Polski w rozwoju kultury europejskiej. Na samych szczytach myśli europejskiej reprezentował Polskę Mikołaj Kopernik.

Już wtedy zarysowały się jednak charakterystyczne cechy kultury polskiej, które ją wyróżniały w Europie. Podczas gdy w innych krajach Europy, z rozwojem miast i mieszczaństwa powstawały rowe ośrodki życia kulturalnego, w Polsce magnackie dwory pozostały głównymi, prawie jedynymi ośrodkami kultury. Okres rozwoju miast w Polsce był krótki i został całkowicie zahamowany. Dobrze zapoczątkowana europeizacja kultury polskiej została zatrzymana. Już wtedy zarysował się ten stan rzeczy, który cechował kulturę polską do lat ostatnich. Z jednej strony kultura polska ludowa, nie uczestnicząca w kulturalnej wspólnotce europejskiej, z drugiej — kultura dworska szlachty, łacińska, kosmopolityczna, europejska — arystokratyczna i amatorska.

W tej dworskiej kulturze Polski nowożytny Estreicher, idąc za Brücknerem, podkreślał „małą rolę książki i zawodowej literatury“ (St. Estreicher, „Problem dziejów kultury polskiej“, „Przegląd Współczesny“, t. X/1931, nr 105, str. 20). „Poezję — pisał Estreicher — uprawiają w Polsce wszyscy, ale przygodnie raczej niż zawodowo. Czestym jest typ ziemianina-pisarza, rzadkim typ zawodowego uczonego, literata, poety. Odbija tym Polska w XVI i XVII w. od reszty współczesnej Europy“ (Tamże, str. 20).

To był ten typ kultury, w którego ramach wolno było się bawić różnymi zajęciami, ale nie wolno było pracować zawodowo. Ten rys dworska kultura Polski dzieliła z prymitywnymi kulturami zabawy ludów myśliwskich i wojackich, jak np. Indianie amerykańscy. Kultura tego typu osiągała wysoki poziom amatorstwa intelektualnego w oparciu o niewolniczą pracę wytwórczą, jak w Grecji. Nowożytna Europa oznaczała przewyciężenie tego typu kultury. Wiazało się to z rozwojem miast i mieszczaństwa. To była ta faza europeizacji, której Polska nigdy w pełni nie przeszła. Nawet w zakresie rolnictwa szlachta-ziemiaństwo należała do typu kultury amatorskiej. Władysław Grabski, omawiając podreżnik gospodarstwa wiejskiego A. Gostomskiego z 1588 r. pisze: „Zagadnień techniczno-gospodarskich Gostomski właściwie nie omawia, unika ich, najwidoczniej się na nich nie zna i nie wie nawet, skąd czerpać potrzebne wiadomości, odsyła bowiem nieustannie urzędników gospodarskich po naukę praktycznego gospodarowania do kmieci lub drobnych szlachty... najwidoczniej w XVI w. autorytetem w sprawach agronomicznych dla szlachty... był rządny drobny gospodarz, jako bardziej od ziemian doświadczony rolnik i ho-

Ostatnia Nowość!

MIROSLAW STAROST

FILOZOFIA
P R A C Y
I NARODU

WPROWADZENIE DO
ZAGADNIEN POLSKIEGO
POGLADU NA ŚWIAT

Str. 287 Zł. 300

OFICyna WYDAWNICZA
KATOWICE, UL. MŁYŃSKA 2

Do nabycia we wszystkich księgarniach

845

downca" (Wł. Grabski; recenzja z książki J. Bergerówny pt. „Z dziejów książki gospodarczej w Polsce w XVI w.", Lwów 1933, „Roczniki Dziejów Gospodarczych i Społecznych", t. III, 1934, str. 366).

Jedyny rodzaj wieloletniej kultury zawodowej, jaką Polska miała, to było chłopskie rolnictwo. W tym zakresie chłop był nie tylko nauczycielem szlacheckiego ziemiaństwa, gdy szlachta rzemiosło wojenne zamieniała na zajęcie rolnika, lecz także w niektórych dzielnicach Polski, jak np. w Galicji, pozostał głównym czynnikiem fachowo-zawodowym w ziemianstwie folwarku niemal do końca XIX stulecia.

Wł. Grabski zwraca uwagę na to, że nawet po zniesieniu pańszczyzny ziemianstwu folwark z trudem przeobrażał się w nowoczesny, kapitalistyczny warsztat produkcyjny pracy rolniczej. Ciężka na nim historyczna rola ziemianina, który nie był wytwórcą, nie był fachowym organizatorem produkcji, lecz panem-dziedzicem, dla którego sens majątku polegał na tym, że go zwalniał od konieczności produkcyjnej zawodowej pracy. Na ziemianstwie folwarku ciążył historyczny rys, polegający na tym, że, jak pisał Wł. Grabski, „nie było to organizowanie pracy, lecz naganianie do niej" (Wł. Grabski, „Wpływ ustroju agrarnego", „Roczniki Socjologii Wsi", III/1938, str. 8—9).

IV

Tu i tam w poszczególnych majątkach, a przede wszystkim na ziemiach zachodnich, dokonywały się poważne zmiany w drugiej połowie XIX w.; ale właśnie tam, gdzie Polska wdziała swoją europejską misję, mianowicie na kresach wschodnich, folwark ziemiański pozostał tym, czym był w historii — nie organizowaniem pracy, lecz naganianiem do niej. **Kresy wschodnie, w których narodowy młot polski wdział i widzi historyczną europejską misję Polski, były ziemiami, na których grzebialiśmy naszą europejskość.**

Kresy wschodnie okazały się fatalną szkołą dla narodu polskiego. Polskiej szlachcie dawały one możliwość życia pozorami europejskości, nie zmuszając jej do przyswojenia istotnych elementów kultury europejskiej — europejskiej kultury pracy. Kresy wschodnie pozwalały polskiej szlachcie kontynuować amatorski styl kultury plemion myśliwskich w czasie, gdy cała Europa przeobrażała się do głębi w związek z nowoczesnymi osiągnięciami w zakresie myśli, techniki i gospodarstwa. Kresy wschodnie pozwalały Polsce utrzymywać stanowo-arystokratyczny styl kultury w czasie, gdy w całej Europie zachodniej kształtowały się nowoczesne narody w związku z przewyższeniem stanowej struktury społeczeństwa.

Cały wiek XVII i połowa XVIII to okres gwałtownego oddalania się Polski od Europy we wszystkich dziedzinach. Oddalamy się od Europy w strukturze gospodarczej, czego jaskrawym wyrazem jest upadek miast i mieszczaństwa oraz początków kultury zawodowej. Oddalamy się od Europy w zakresie umysłowym, przedstawiamy bowiem brać aktywny udział w kulturalnym życiu Europy. Oddalamy się od Europy w naszym ustroju politycznym, który staje się bardziej podobny do ustroju plemion pierwotnych niż do ustroju nowoczesnego państwa. Zatracamy elementy europejskości kultury polskiej — w jednej tylko dziedzinie zachowując ambicję rywalizacji z przodującymi krajami świata. Jest nią rywalizacja w zbytku, wystawności, przepychu. Gdy inne kraje Europy przekształcały się w nowoczesne narody na drodze rywalizacji w produkcyjnej pracy, ambicją szlacheckiego narodu polskiego — było wyprzedzić wszystkie kraje w zbytku, przepychu, wystawności — zgodnie z przewyższeniem już w Europie stylem wielkości z epoki przedkapitalistycznej. „Przepych i ośniewająca światłość legacji polskich, wyprawianych za granicę, zrobiły Polsce reputację ziemi nieprzebranego bogactwa" (W. Łoziński, „Życie polskie w dawnych wiekach", str. 223). Europa organizowała nowoczesne warsztaty pracy produkcyjnej, a polscy magnaci eksploatowali dalej bogactwa kraju

przy pomocy wypróbowanego systemu naganiania chłopów do pracy.

Ośniewanie Europy zbytkiem, wytwornością manier i doskonałością amatorskiej kultury szło w parze z pogardą dla tej pracowitej Europy, która budowała fundamenty nowoczesnej mieszczańskiej kultury europejskiej. W odniesieniu do Holendrów Jerzy Ossoliński z lekceważeniem i pogardą mówi o „rusticitas pysznego chłopstwa, tj. panów tam gubernujących", a Stefan Pac, towarzysz podróży królewicza Władysława IV (1624) mówi z oburzeniem o familiarności Szwajcarów, którą „to chłopstwo sobie uzurpowało" (W. Łoziński, op. cit., str. 222).

Polska w połowie XVIII w. dorównywała Europie — w wytwornych pańskich formach zabawy, czyli w tym, co już przestało być dominującą cechą kultury europejskiej. Współcześni cudzoziemcy przedstawiali Warszawę jako „ognisko zabawy i dobrego smaku". „Stary ks. de Ligne — pisze Askenazy — arbiter elegantiarum Europy, prawodawca dobrego smaku, pisarz subtelny, a wielki bywalec, który znał równie dobrze salony Paryża i Wiednia, Berlina i Petersburga, wręcz deklarował się, że ze wszystkich stolic świata woli Warszawę, „gdzie panuje najlepszy ton francuski, zaprawiony jakąś swoistą przymieszką wschodnią" — niby w rodzaju pewnych zalotnych kombinacji toaletowych ówczesnych elegantek warszawskich, ukazujących się w gustownym kołpaczku na pudrowanej fryzurze, albo w barwnym kontusiku na sukni paryskiej z trenem... Zimą 1767/68 r. bawił w Warszawie sławny Harris, hr. Malmesbury. Wiele okrutnych obserwacji wniósł do dziennika tego pobytu przenikliwy, zjadliwy, nielitościwy Harris. On to wtedy słyszał ów kapitalny dowcip na Zamku: „gdy jakoś mowa była o królu-wygnancu, co to ongi we Florencji miał trudnić się dla zarobku złotnictwem, na co żartobliwie wtrącił Stanisław August, że nie umiałby zarobić sobie na życie, — kiedy nagle odezwał się zimno Repnin: „Pardonnez Sire, wszak W. K. M. bardzo dobrze tańczysz" (Sz. Askenazy, „Wczasy historyczne", II, str. 97—98).

Polska XVII i XVIII w. była w Europie, ale w jakiej Europie? W Europie dworskiej zabawy, z której nowoczesna Europa już wychodziła. Zachowanie tej anachronicznej europejskości ułatwiały nam kresy wschodnie. Odsuwaliśmy się Polski od Europy w XVII i XVIII w. to była epoka hegemonii kresów wschodnich — w kulturze, w życiu społecznym i politycznym. Kresy wschodnie stwarzały możliwości łatwej eksploatacji i zbytku i odsuwały konieczność techniczno-gospodarczej europeizacji kraju. Kresy wreszcie stanowiły szkołę anarchii politycznej. Według statystyki, jaką prof. Wł. Konopczyński podaje w „Liberalum veto" (1918) Małopolska (bez województw ruskich) dała 9 zrywów, Wielkopolska 12, a województwa ruskie 24, Litwa — 28.

Kresy wschodnie były terenem, na którym wyrósł oligarchizm „królewski", rozsadzający organizację państwową. „Stopniowo... oligarchizm z kresów rozrósł się na całą Rzeczpospolitą, nadając jej charakterystyczne piętno... w ostatnim okresie jej państwowego istnienia" (K. Tymieniecki, „Państwowość polska w rozwoju historycznym", „Przegląd Warszawski", 1921, grudzień, str. 309).

Ten proces rozpadu państwowej organizacji Polski dokonywał się w tym samym czasie, kiedy w Europie kształtowały się nowoczesne państwa. Co więcej, właśnie w początkach XVIII w. na wschodniej granicy Polski Piotr Wielki dokonuje wielkiego eksperymentu europeizacji Rosji, przeszczepiając zachodnio-europejskie formy państwowości i wprowadzając kulturę rosyjską na szlaki europejskiego rozwoju. Wielki eksperyment europeizacji dokonywał się centralistycznie, szybko i gwałtownie. Z pojedynczymi ludźmi nie liczonej się zbytnio. Ale efekt osiągnięto. Rosja weszła na szlak europejski i w ciągu paru pokoleń zajęła pierwszorzędne miejsce w rozwoju kultury europejskiej — w literaturze, sztuce, muzyce. W drugiej połowie XIX w. kulturalna łączność Rosji z prądami Europy zachodniej

jest ściślejsza i bardziej bezpośrednia niż Warszawy.

Przez Rosję szedł do Warszawy nie tylko marksizm i prądy socjalistyczne, lecz także pod silnym wpływem rosyjskim rodziło się chłopstwo ludowców, skupionych dookoła „Głosu" Jana L. Popławskiego.

Od Piotra Wielkiego zaczął się wielki proces europeizacji Rosji. I wszystko, co się odtąd działo ważne w historii kultury i społeczeństwa rosyjskiego, nie wyłączając obalenia caratu i rewolucji bolszewickiej, to było dzieło europejskich idei przeszczepionych na grunt rosyjski. To był dalszy swoisty proces europeizacji Rosji. Z istoty tego procesu zdawano sobie w Europie lepiej sprawę niż w Polsce. Antagonizmy polsko-rosyjskie utrudniały nam realną ocenę tego historycznego procesu. Obraz Rosjanina, jaki urobiła sobie patriotyczna Polska, był to nie tylko obraz narodowego wroga, lecz także — zaprzeczenia europejskości.

L. Kronenberg w swoich „Wspomnieniach" (1933) pisze o napływie rosyjskiej młodzieży do Uniwersytetu Warszawskiego. Jak wyglądała? „Sprawiali wrażenie ludzi — pisze Kronenberg — o pewnej dzikości, braku cywilizacji i ogłady... Ulice Warszawy roily się od tych osobników, tak krańcowo różniących się od członków naszego polskiego społeczeństwa. Odbierało się wrażenie, że ci synowie popów umyślnie nosili stare poplamione mundury i wygniecione czapki na swych głowach, porośnięte gęstymi, długimi włosami. Prawdopodobnie chcieli oni okazać, że podług zasad nihilizmu nie sobie z nikim i niczego nie robią, a szczególnie z kraju o kulturze tak różniącej się od dalekich gubernii cesarstwa".

A jak było naprawdę z europejskością ówczesnej Polski i Rosji? „Ruch umysłowy Rosji w drugiej połowie lat sześćdziesiątych i w latach siedemdziesiątych — pisze Krzywicki w swoich pamiętnikach — toczył się wartkim potokiem. My w Warszawie styszelśmy o wielkich przodownikach myśli w Europie zachodniej i co najwyżej dowiadujemy się o ich poglądach z nielicznych artykułów w naszych tygodnikach. W Rosji tłumaczono ich natychmiast, a co więcej, wobec rozległego rynku, sprzedawano po niskiej cenie... I gdy porównamy tę siłę książek, to bogactwo oryginalnych wywodów, zdzieranie bez żadnej ogródki obłudy społecznej, a przede wszystkim wielki urok potężnych talentów pióra i moc ich zapachu, pojmiemy jak każdy młodzieniec, chcący rozległych widnokręgów, ciążył ku tym zasobom myśli... I dodajmy, że to oddziaływanie nie ograniczało się do młodzieży uniwersyteckiej. Poczynano się bowiem już w klasie trzeciej i czwartej gimnazjum. Malców zamkniętych w czytelnictwie pociągły książki. W naszej bibliotece gimnazjalnej w Płocku znajdowały się w przekładzie rosyjskim, i to w przekładzie dobrym, wszystkie dzieła Szyllera, Goethego, Heinego i Byrona... Były to lata 1875—78, kiedy Sienkiewicz i Prus jeszcze nie wysunęli się naprzód swoją twórczością i kiedy tylko „Przegląd Tygodniowy", przez paru z nas chciwie czytowany, był jedyną placówką urągającą powszechnej senności... Książka polską pomiatano jako o treści przestarzałej, nie umiejacej pociągnąć młodych umysłów. Młodzież tamtejsza już na ławie gimnazjalnej kumała się z ruchem rewolucyjnym rosyjskim, wchłaniała książkę rosyjską. Kijów przodował, po nim szło Wilno... Zwrot nastąpił dopiero po opadnięciu wielkiej fali entuzjazmu społecznego w Rosji i wytypieniu gromady śmiałków, co, mierząc siły na zamiary, porwali się na carat. Nastąpiło załamanie ostrego ruchu rewolucyjnego rosyjskiego. A tymczasem radykalizm polski znalazł u siebie w kraju posterunki wydajnej pracy społecznej. Aż w końcu wieku XIX rolę uległa odwróceniu — gdy młodzież rosyjska będzie się uczyła po polsku, aby czytać nasze tygodniki radykalne i przekłady na język polski Marxa i Engelsa, a manifestacje w Warszawie w rodzaju pogrzebu Tańskiego dadzą pobudkę do podjęcia znowu manifestacji w Rosji" („Kuznica", 1. IX. 1945 r.).

V

Polska leży w Europie. W jakiej Europie? Czy w Europie Mieszka I,

czy w Europie z epoki odsieczy pod Wiedniem, czy w Europie Rewolucji Francuskiej i maszyny parowej, czy w Europie bomby atomowej?

Europa to nie jest pojęcie geograficzne, ale historyczne. Gdzie się zaczyna i gdzie kończy? Czy się zaczyna od Azorów czy od San Francisco? Czy się kończy na wschodniej granicy Niemiec, czy na Uralu? A może poprzez cały kontynent Związku Radzieckiego zaczyna się do Kamczatki? W propagandzie hitlerowskiej Europa kończyła się na Niemczech. Równocześnie historia hitlerizmu, wojna i okupacja niemiecka, ze wszystkimi niemieckimi bestialstwami, jakich świat nie znał, budzą wątpliwości, czy Niemcy należą do Europy. Czyżby więc Europa zaczynała się dopiero od zachodnich granic Niemiec i obejmowała tylko Francję, Hiszpanię i Portugalie? Nonsens, od jakiego się dochodzi w takiej redukcji Europy, ma swoje głębsze źródło. Skończyła się historia Europy XIX w., tak jak poprzednio skończyła się historyczna Europa średniowieczna. **A Europa XIX w. skończyła się nie wtedy, gdy hitlerizm poniósł klęskę wojenną, lecz znacznie wcześniej, gdy hitlerizm doszedł do władzy. Dojście do władzy hitlerizmu rozbiło historyczny młot duchowej jedności Europy chrześcijańskiej.**

W sprawach Europy i europejskiej kultury nie łatwo się dzisiaj porozumieć. Zarysowują się tutaj dwa zasadnicze stanowiska. Historyczną jedność Europy podkreślają idealści, dla których Europa jest całością duchową — historycznie ukształtowanym systemem idei, dotyczących świata i człowieka. Z tego punktu widzenia problem Europy to sprawa obowiązywania tego systemu idei. Wyznawcy tego poglądu dość łatwo przechodzą do porządku nad tym, że zwycięstwo hitlerizmu w samym centrum Europy dowiodło niezdolności Europy do obrony swoich idei i duchowych wartości.

Krańcowo przeciwnie stanowisko zajmują marksiści. Myśląc kategoriami techniczno-gospodarczymi nie widzą w ogóle problemu Europy jako zagadnienia samoistnego. **Z punktu widzenia marksistowskiego Europa nie stanowi samoistnej całości duchowej, gdyż takiej całości nie uznaje materializm historyczny.** A z punktu widzenia techniczno-gospodarczego Europa nie stanowi również samoistnego problemu, lecz tylko fragment wielkiego światowego problemu epoki kapitalizmu i imperializmu. Społeczna i kulturalna problematyka marksizmu leży w płaszczyźnie: kapitalizm — socjalizm, a nie w płaszczyźnie: Europa i świat pozaeuropejski.

Przeciwieństwo tych dwóch stanowisk jest zasadnicze i trudne do uśmieszenia, ponieważ dotyczy ostateczności tego, co można określić jako „społeczną religię" człowieka. Pomiędzy jednak przeciwieństwo stanowisk metafizycznych, które, praktycznie rzecz biorąc, nie odgrywa wielkiej roli, trudność porozumienia wynika z niehistorycznego stanowiska obydwu przeciwników. Ci, którzy widzą w Europie jakoś duchową, przeczącą, że do historycznego pojęcia Europy należy potężny rozwój techniczno-gospodarczy, który nie jest tylko zjawiskiem materialnym, lecz równocześnie materialnym i duchowym. Ci, którzy widzą w Europie fragment zagadnienia kapitalizmu i imperializmu, lekceważą nie tylko historyczny dorobek ludzkości przedkapitalistycznej, lecz także zapominają, że rozwój nowoczesnej techniki i gospodarstwa w całym świecie, to przecież olbrzymi proces europeizacji świata. **Technika zrodziła się ze zdobywczego ducha Europy, na podłożu jej kultury duchowej wolności człowieka.**

W kontrowersjach na temat europejskości Polski zapomina się przede wszystkim o tym, że proces europeizacji nie ogranicza się do przyjęcia chrześcijaństwa i wiary w europejski system takich idei, jak poszanowanie godności człowieka, tolerancja itp. Zapomina się o tym, że Europa to także potężny rozwój zdobywczej myśli i techniki.

Technicznie opóźnieni, skłonni jesteśmy wyolbrzymiać duchowe elementy naszej europejskości. Nie doceniaamy podstawowego faktu, że europeizacja kraju to obecnie przede wszystkim rozwój techniczno-gospodarczy. Nie może być narodu nowo-

czesnego poza kulturalną wspólnotą świata cywilizowanego. Europejskość to istotny element kulturalnej struktury narodu polskiego. Zaden naród nie staje się jednak europejskim przez to, w co wierzy, lecz przez to, co czyni we współdziałaniu i w rywalizacji z innymi narodami.

Współdziałanie i rywalizacja narodów nie tylko przebiega w ramach nowoczesnych form techniczno-gospodarczych, lecz, co więcej, coraz bardziej ześrodkowuje się na sprawie przystosowania nowoczesnej techniki do duchowych potrzeb człowieka i społeczeństwa. Rozwiązanie tego zagadnienia staje się centralnym problemem europejskiej kultury, a udział poszczególnych narodów w rozwiązywaniu tego problemu — problemem ich europejskości. Znaleźnienie bardziej uspołecznionych form gospodarstwa — zgodnie z najlepszymi tradycjami humanistycznej kultury Europy — to podstawowa płaszczyzna rywalizacji europejskich narodów. Od pomyślnych rezultatów w tej dziedzinie zależy przyszłość całej europejskiej kultury, w której istocie leży, że nie da się zamknąć, ograniczyć, izolować, lecz stoi otworem dla każdego, promieniując wszędzie na cały świat i w głąb każdego człowieka.

Problem Europy istnieje. I istnieje problem miejsca Polski w Europie. Myśląc kategoriami historycznymi nie da się tych problemów przekreślić; nie da się również zredukować ich do sprawy kapitalizmu i socjalizmu, ani — Kościoła katolickiego. Obecna chwila historyczna to przełomowa epoka Europy i europejskiej kultury, której i katolicyzm i marksizm są tylko fragmentami.

Problem Europy to także problem narodu jako historycznej formacji kulturalnej. Bo naród jako formacja społeczno-kulturalna jest tworem europejskim, gdziekolwiek się pojawia. Tworem europejskim jest zarówno naród rosyjski, jak i amerykański.

Polska leży w Europie, ale w Europie XX w. Młot europejskości Polski nie może służyć zwalnianiu Polaków z obowiązku myślenia realnymi kategoriami, nie może być synonimem cudowności dziejów Polski, nie może usprawiedliwiać bierności w tym czasie, kiedy narody świata mobilizują wszystkie swoje siły materialne i duchowe.

Jożef Chałasiński

Radiowy Uniwersytet Ludowy

Dyrekcja Okręgowa Polskiego Radia w Krakowie rozpoczyna z dniem 2 grudnia na fali ogólnopolskiej nadawanie wykładów Radiowego Uniwersytetu Ludowego. Cykl ten trwać będzie do miesiąca maja 1947 r. włącznie i obejmie popularne wykłady z dziedziny nauk przyrodniczych, historycznych, jak również literatury i socjologii. Wieczorne godziny wykładów (od 22.00 do 22.30) umożliwią korzystanie z nich słuchaczom, którym praca nie pozwala na to w inne porę. Wykłady Radiowego Uniwersytetu Ludowego zostały powierzone profesorom i docentom Uniwersytetu Jagiellońskiego oraz wykładowcom innych wyższych uczelni w Krakowie.

Program wykładów nie stanowi skryształizowanej całości, która by objęła całością poszczególnych gałęzi wiedzy — ze względu na ograniczenie czasu oraz naczelne hasło tej akcji: popularność.

Organizacja Radiowego Uniwersytetu Ludowego została powierzona przez dyrekcję Polskiego Radia zastępcy dyrektora Okręgowego Polskiego Radia w Krakowie ob. Zdzisławowi Stomilskiemu. Nad programem czuwa Kolegium w składzie: prof. dr K. Grzybowski, dr J. Sieradzki, dyr. J. Ronald-Bujański oraz zastępcę dyrektora Zdz. Stomilski.

Plan wykładów Radiowego Uniwersytetu Ludowego, który będzie czynny w poniedziałki, wtorki, środy i piątki, przedstawia się następująco:

W poniedziałki odbywać się będą wykłady z dziedziny biologii, a mianowicie: 2, 9, 16, 23 i 30 grudnia oraz 13 stycznia wstępne wykłady przeprowadzi doc. dr B. Skarżyński; w dniach 27 stycznia, 3, 10, 17, 24, 31 marca oraz 7, 14, 21, 28 kwietnia wykład będzie prof. dr Stanisław Skowron. We wtorki w dniach 3, 10, 17 grudnia, 7, 14, 21, 28 stycznia, 4, 11, 18, 25 lutego oraz 4 marca wykład będzie zagadnienie ustrojowe prof. dr K. Grzybowski. W dniach 11, 18, 25 marca, 1, 8, 15, 22, 29 kwietnia, 6, 13, 20, 27 maja wykład będzie antropologiczny prof. dr K. Stołyhwo i doc. dr E. Stołyhwo. W środy w dniach 4, 11, 18 grudnia, 8, 15, 22, 29 stycznia, 5, 12, 19, 26 lutego, 5, 12, 19 marca wykład będzie cykl historii powszechnej dr J. Sieradzki. W piątki w dniach 6, 13, 20, 27 grudnia, 3, 10, 17, 24, 31 stycznia oraz 7, 14, 21, 28 lutego wykład będzie zagadnienie literatury doc. dr K. Wyka.

W dniach 28 lutego, 7, 14, 21, 28 marca, 4, 11, 18, 25 kwietnia oraz 9, 16, 23 maja wykład będzie zagadnienia z dziedziny socjologii dr St. Orsini-Rosenberg. W dniach 26 marca, 2, 9, 16, 23, 30 kwietnia, 7, 14, 21, 28, 30 maja wykłady z dziedziny historii polskiej wygłosi dr J. Sieradzki.

Niezależnie od wykładu, począwszy od miesiąca stycznia, odbywać się będą stałe seminaria, które będą udzielać odpowiedzi na listy słuchaczy. Odpowiedzi udzielać będą poszczególni wykładowcy w zakresie swoich specjalności. Organizacja seminarium została poruczona prof. drowi Henrykowi Mościckiemu.

TADEUSZ PEIPER

"Wesele" w Teatrze im. Słowackiego

I

Wśród widzów, pamiętających dawne Wesele, są tacy, którzy zarzucają dzisiejszym jego wykonawcom „gubienie wiersza”. Pod tym zarzutem buntuje się ucho czule jedynie na rytmu łatwe, wywodzące się — bliższym lub dalszym rodowodem — z rytmów pieśniarskich.

Sam autor miał takie ucho. Kiedy raz w rozmowie z Bolesławem Raczyńskim, jego współpracownikiem muzycznym, wyprowadziłem z rytmiki Wyspiańskiego wniosek, że jego wrażliwość muzyczna musiała być ograniczona, Raczyński potwierdził ten wniosek i podał mi kilka przykładów, które aż do jaskrawości ujawniły, że poeta, wielbiony przez niektórych jako bożyszcze wiersza muzycznego, nie czuł muzyki wielkiej. Jeśli rytmom „Wesela” należy przyznać trafność i świętość, pochodzi to z wyjątkowo szczęśliwego związku z rytmem muzyki ludowej i tańca ludowego, stanowiącym nie tylko tło dramatu, ale jedno z zasadniczych źródeł jego treści.

Można oczywiście postawić postulat, że przedstawienie powinno związać ten akcentować, że weselny taniec chłopów i panów, który wynurza ze siebie wszystkie tematy dramatu i prowadzi do symbolicznego tańca końcowego, powinien sobą rytmizować mowę ludzi; ale trzy godziny takiej monotonii mogłyby wypłoszyć z teatru tych widzów, których słuch wychowywał się i wychowuje się na poezji nowoczesnej i muzyce nowoczesnej. Można postulat ograniczyć: jak długo tematem dramatu jest wesele zabawa, niech rytm tańca i pieśni wyraźnie odbija się na rytmie ludzi i ich mowie, potem — gdy ludźmi szarpia wewnętrzne szamotania się i wizje innego życia — niech rytm ich mowy burza się, rozpada się, kawałkuje się, aż w końcu pojawi się ów niezwykły rytm finałowego tańca symbolicznego; ale słuszność tego drugiego postulat musiaby być podtrzymywana ogólnym planem reżyserskim.

Na razie najważniejsze jest co innego: uwalniać od naporu fraz rytmicznych myślową zawartość zdań i zespołów zdaniowych. Naciśnięcie słów, pauzy, tempa, tonacje niech stwarzają muzykę myśli. Wszystkie możliwości głosu i wzajemnego ustosunkowywania słów niech będą wykorzystane dla jak najjaśniejszego układu treściowych składników każdej wypowiedzi i niech każda z tego właśnie punktu widzenia otrzyma jak najbardziej precyzyjną budowę. W miarę jak czas oddala się od epoki „Wesela”, trzeba nowym ludziom widowni z większą jasnością, niż dawnym, ukazywać rysy środowiska, rysy, które Wyspiański ujrzał z niezwykłą przenikliwością i utrwalił w wypowiedziach arcydziełnych. Im mniej przejryste będzie „Wesele”, tym bardziej przejrzysta będzie widownia.

Tymczasem nasi aktorzy poddają się biernie napierającym frazom rytmicznym, równie biernie poddają się dźwiękowemu działaniu słów mało ważnych, i bardziej niż wiersz, gubią myśl. Są partie, w których wyrzucają ze siebie masy słowne bez określonego układu wewnętrznego, tak, że myśl nie może ukazać swych odciśnięć, a często nawet swej głównej barwy. Dla p. Białkowskiego współdzźwięczenie słów „dzwon dzwonił” ma w sobie tyle upajającej mocy, że pod jej działaniem obojętnie on całkowicie dla zasadniczego faktu, że: „król się zapłonił”. Nawet Karłowski, który nad słowami panuje, za mało dba o budowę całości i całość, i bardziej impresjonuje się dźwiękiem dzwonów niż „rzezanymi ciałami”.

Tu i ówdzie przebyłski opamiętania się. P. Kiernikówna we flirtach I-go aktu (ale później już nie) wydobywa z każdego słowa i z każdego zdania pełnię znaczenia. Mniej więcej to samo można powiedzieć o p. Słaskiej, ale z zastrzeżeniem, że jej zadanie jest łatwiejsze. Woźnik daje czasem kilku słowom brzmienie głębokiej przeżycia. Odrębne miejsce w zespole zajmuje p. Kalliszewski ze swą mową nierytmiczną; początkowo raz, tym bardziej że w zalotach

i ironiach nie zdobywa się na finezję, potem jednak — w miarę jak przedstawienie postępuje naprzód i na scenie gromadzą się stopy niewłaściwie wypowiedzianych słów — jego mowa odrębna, brząca chwilami jak stuk drewna o drewno, zdaje się być wyrazem niezwykłych stanów duszy i — w zestawieniu z mało charakterystyczną mową innych — staje się ułgą.

II

Za mało charakteru jest w ogóle w postaciach.

Więcej ma go grupa chłopska niż pańska, dzięki naturalnemu urokowi p. Matusiakówny, dzięki swoistościom p. Jaworskiego, dzięki wydatności rysów, w jakie wyposażone są same role pp. Fuzakowskiego, Smei i Stanocha, oraz — jeśli do grupy chłopskiej zaliczymy także karczmarza — dzięki charakterystyczności, jaka z natury rzeczy tkwi w roli p. Czackiego.

W grupie pańskiej zwraca na siebie uwagę interesujący zamiar p. Solarskiego, który Pana Młodego stara się uplastycznić ruchami dyktowanymi chłopomanowi kultem swobody. Sposób, w jaki p. Szymański porusza Gospodarza, nie może być zaliczony do uplastyczniających. P. Niewiarowicz zreszczie chwile pijanym Nosem, ale gdy kładzie go na kanapie, niemal kładzie rolę. Odrębność p. Kalliszewskiego zaznaczają się także w postawieniu figury; jego Poeta, choć nieraz rażąco sztywny, chwilami trzymaniem się i chodem przejawia bądź co bądź jakąś indywidualność. — O źle obsadzonej roli dziennikarza nie chcę pamiętać; o p. Jędrzejowskiej pamiętam, lecz jako o Racheli milczę; p. Górską i p. Kosińskiego wspominam.

Zjawy potraktowano nieco inaczej niż dawniej, starano się uczynić z nich gości weselnych wchodzących

w bliskie rozmowy z tymi, których niepokoją. Jest to niewątpliwie słuszniejsze, ale pozostaje tylko słuszniejszym z a m i a r e m. Daleka od niego jest realizacja; źle obsadzona rolę Rycerza pomijam milczeniem; Hetmana, który nie bez winy autora jest figurą z teatru dla dzieci, muszę p. Olszynowi wybaczyć; ale jak wybaczyć innym, skoro p. Podgórski jako Widmo tylko wejściem i ruchami początkowymi dopada istoty sprawy, co prawda świetnie — skoro p. Michulowicz spłyca pierwsze wystąpienie Chochola — skoro Woźnik ma tylko jeden moment trafny (gdy stawia swego Szele bok o bok z rozmówcą) — skoro Białkowski za tracią złożoność Stańczyka, w którym przecie powaga i ból przeplatają się gorzką drwiną i gorzkim śmiechem — skoro najlepszy z gości-zjaw, Karłowski, też daje postać za mało zróżnicowaną i np. nie wykorzystuje tematu alkierza, który kilkakrotnie nawrotami błaga o ukształtowanie sceniczne. Sumaryczność, obojętność dla szczegółów, obojętność dla odcieni ważnych myślowo, a cennych scenicznie — to poważna wada wszystkich tych postaci.

III

Podobną sumarycznością grzeszy gromada wyczekująca Wernyhory.

Wyspiański chciał mieć — i słusznie — chłopów „z kosami i różną bronią”, chciał ich mieć „poubieranych jak do drog”. Nie widzimy tego na scenie i nie widzieliśmy tego dawniej. Prawdopodobnie dlatego, że — aby scena mogła to przyjąć — nie można na niej naładować gromady niezmiennych, trzeba przepychać przez nią postacie wciąż nowe i nieznanne, trzeba wnieść w nią wejścia, wyjścia, wbiegi i wybiegi, trzeba uczynić z niej miejsce gorączkowego ruchu ludzi przygotowujących się do wyruszenia w drogę,

gę, a to wszystko wymaga reżyserskich dopełnień i... pracy.

„Nateżanie słuchu” też powinno mieć przebieg bardziej złożony, zanim przetworzy gorączkujące zbiorowisko ludzi w gromadę zastygłą w jednym oczekiwaniu. Wyspiański chciał nawet, aby niektórzy ze słuchanych „imali szable ze ścian, to znów jakieś flinty i pistolety”. Czuł konieczność tworzenia przejść od stanu gorączki do stanu zastygnięcia. Czuł także, że czas, poświęcony scenicznemu bezruchowi, musi być ściśle odmierzony, bo trwanie bezruchu na scenie ma swe niebezpieczeństwa. Te czucia poety sprzed półwiecza nabierają nowego sensu przy uwzględnianiu wrażliwości widza nowoczesnego.

Nie bez związku z sumarycznością ujęć reżyserskich powstają usterki nieistotne ale przykre: Jasiek stwierdza, że wszyscy stoją jak pośnięci, a wszyscy klęczą. Albo potem: gdy część kos złożył już wkacie, zapytuje gdzie je ma złożyć, a przecie do kąta odsyła kosy dopiero sarkazm Chochola.

IV

Czy końcowy akt „Wesela” jest ukształtowany właściwie? Czy prapremierowe rozwiązanie sprawy, które przeszło przez wszystkie nasze teatry i utrwaliło się w nich ostatecznie, jest zgodne z logiką dzieła? Może Wyspiański zaakceptował je, może nawet — w bezsilności wobec przeszkód na jakie napotykał — sam owo rozwiązanie poddał jako jedyne możliwe w ówczesnych warunkach, ale niezależnie od tego można je zakwestionować.

Adam Grzymała-Siedlecki — z okazji niedawnego wystawienia w Krakowie „Mieszczan” Gorkija — pisał, że jego rówieśnicy dopatrywali się analogii między ostatnią sceną tego

Wokół Biblioteki Publicznej m. Krakowa

Z końcem września 1946 r. Związek Bibliotekarzy i Archiwistów rozesłał zaproszenia na odczyt dyr. dr J. Korpały na temat szczegółów organizacji Biblioteki Publicznej Krakowa. Prace nad urzędzeniem tej biblioteki, po 40 latach zabiegów i starań, dobiegają końca. Zawiązek Biblioteki jest więcej niż skromny, bo obejmuje zaledwie 10 000 tomów. Jak z prelekcji dyr. Korpały wynikało, instytucja dysponuje na początek darem, których ogólna liczba wynosi wprawdzie 20 000 tomów, ale 10 000 z tego należy odrzucić jako książki nie nadające się do tego rodzaju biblioteki. Są to bowiem powieści niemieckie i francuskie, starodruki lub książki traktujące o sztuce, a można słusznie twierdzić, że i drugie 10 000 tomów wybranych dla powstającej biblioteki nie przedstawia materiału pierwszej potrzeby. Można je więc traktować tylko jako punkt wyjścia. Kierownictwo zdaje sobie w pełni sprawę z postulatów, jakie należy wysunąć przy montowaniu tego rodzaju instytucji. Jeśli ma ona służyć najszerzszym masom, to musi do gustu tych mas się dostosować, chociaż nie może tym gustom całkowicie ulegać. Biblioteka spełni wtedy wielką rolę wychowawczą, jeśli będzie umiała podesić do czytelnika. W dyskusji nad referatem wysunięto postulat, że nie należy się obawiać, jeżeli w ręce czytelnika wpadnie byle jaka książka. Umiejętna propaganda i polityka pedagogiczna potrafią zawsze skierować jego zainteresowania we właściwym kierunku, byleby nie stosować metod przymusu lub nacisku, bo to tylko odstrasza.

W jakim kierunku pójdą wytyczne Biblioteki Publicznej? Dyr. J. Korpała ujmując zadania tej instytucji w trzy zasadnicze punkty. Biblioteka, zdaniem jego, ma: 1) służyć wychowaniu społecznemu przez ukazywanie problemów społecznych na tle dziejowym i ułatwianie ich zrozumienia; 2) ułatwiać kształcenie,

dokształcanie, samokształcenie, służąc radą w doborze lektury; 3) dostarczać czytelnikom kulturalnej rozrywki, starając się o zaspokojenie potrzeb kulturalnych różnych środowisk społecznych, upowszechnienie i podnoszenie kultury środowiska. Cele, jak widać z tego exposé, są bardzo szerokie i obejmują całą dziedzinę zainteresowań przeciętnego czytelnika, biorąc pod uwagę rozmaite jego odmiany. Biblioteka pragnie więc stać się ośrodkiem i ogniskiem kultury, promieniującym na wszystkich mieszkańców miasta. — Kierownictwo zdaje sobie sprawę, że aby te zadania wypełnić, musi trafić do czytelnika i przyciągnąć go. Za mało zestawie księgozbiór, choćby najbardziej odpowiadający gustom czytelnika. Dostęp do księgozbioru musi być łatwy, obsługa szybka. Biblioteka Publiczna nie może się bawić w biurokrację, musi zerwać ze wszystkimi nawykami bibliotek naukowych, które już samym wewnętrznym wyglądem i stosunkami odstrasza. Innym warunkiem powodzenia jest poradnictwo w sprawie wyboru książki. Odpowiednia książka, ale przede wszystkim życiowa porada. Z tym łączy się sprawa odpowiednio wykształconego personelu bibliotecznego.

Jakimi wytycznymi będzie się kierowała dyrekcja Biblioteki Publicznej w doborze książek? Obecny dyrektor Biblioteki formułuje to zagadnienie w następujący sposób. Sprawa doboru książek dla Biblioteki Publicznej nie przedstawia się tak prosto. Przedwojenny katalog selekcyjny dla bibliotek powszechnych, obejmujący całą niemal produkcję wydawniczą od początku XX wieku do roku 1933 i inne tego typu wydawnictwa nie mogą być przewodnikami z tego względu, że znacznej części wymienionych tam książek nie można dziś nabyć. Wznowienia druków starszych z bibliotek prywatnych nie figurują często w tamtych spisach. Przy ustalaniu podstawowych zasad

doboru książek, Dyrekcja Biblioteki Publicznej kieruje się wytycznymi ustawodawstwa bibliotecznego w Polsce i w innych krajach, wskazówkami fachowych doradców, doświadczeniami innych bibliotek publicznych, wreszcie zaleceniami miejskiego komitetu bibliotecznego.

Biblioteka Publiczna, w myśl słusznych założeń dyrekcji, wyeliminuje: a) publikacje przeznaczone dla specjalistów; b) literaturę o charakterze przytyczkowym; c) literaturę przestarzałą, pozbawioną aktualności naukowej; d) podręczniki nadające się wyłącznie do nauki szkolnej; e) literaturę „wagonową”, brukową, sensacje erotyczne i kryminalne.

W zakresie literatury dziecięcej pominię Biblioteka Publiczna książki działające pobudliwie na zły instynkt, osławiające dzieci z okrucieństwem, stępujące ich wrażliwość na krzywdy i zło, jak również przeładowane nudnym moralizatorstwem i nadmiernym sentymentalizmem.

Nie ulega wątpliwości, że Biblioteka Publiczna musi mieć różne encyklopedie, leksykony, słowniki, bibliografie, przewodniki, atlasy itp. Wśród nich musi się też znaleźć komplet Biblioteki Krakowa i wszystkie podstawowe dzieła mówiące o Krakowie, zarówno współczesnym jak i o jego zabytkach. Dyrekcja całkiem słusznie stawia ten postulat w rzędzie najważniejszych.

Część główną Biblioteki będzie stanowiła Biblioteka Centralna, wyposażona w podstawowy księgozbiór naukowy, uzupełniony klasykami literatury polskiej i obcej a przeznaczony do czytania na miejscu. Przy Bibliotece planowana jest czytelnia wraz z biblioteką podręczną zaopatrzoną w słowniki, leksykony, encyklopedie, atlasy, przewodniki i wydawnictwa treści ogólnej. Osobnym działem będzie wypożyczalnia dla dorosłych i młodzieży, bogato zaopatrzona w lektury szkolne.

Stanisław Peters

utworu a ostatnią sceną „Wesela”; analogią miało być „błędne koło, koło bez wyjścia”, któryś z rzekomo obaj pisarzy kończą swe dramaty. Analogia jednak zachodzi tylko częściowo, a ta jej częściowość jest znamienna. Jeśli Gorkijowy syn mieszczanski, odszedłszy od ojca ku ludziom nowych idei, wrócił do niego, a po jego śmierci będzie widział życie takie samo jak on, kołowanie to ogranicza się tylko do mieszczaństwa; maszynista kolejowy, przedstawiciel nowych sił dziejowych, którego poprzednio łączył z mieszczańskim wspólny dom, a który wraz ze swą narzeczoną dom ten porzucił aby zamieszkać w innym, ten nie wróci, ten nie będzie kołował; jego odejście do innego domu jest symbolem szukania nowych, własnych dróg; przed odejściem mówi, że nie ma takiego rozkładu jazdy, który by pozostawał bez zmiany, i zapowiada, że całą mocą duszy walczyć się będzie w życie, aby je po nowemu urabiać. W „Weselu” nowe siły dziejowe nie dochodzą do głosu i właśnie dlatego kołowanie ogarnia na równi lud i panów, nikt nie wychodzi z kręgu aby iść w życie i nadawać mu nową postać, cała wesełiskowa gromada, społecznie różnorodna — nie zaś tylko przedstawiciel panów jak u Gorkija — wraca w świat, w którym zastaliśmy ją na początku dramatu. Taniec, na którego tle ukazał się nam ten świat, nabiera cech podwójnego symbolu: symbolizuje kołowania ciągłych nawracania do tego co było i taneczne koło jako ośrodek tego co było.

Jakiż kształt powinien mieć taniec, który jest takim symbolem? W autorskich wskazówkach znajdujemy m. in., że ma on być pogodny i że muzyka taneczna ma mieć w sobie ból, ale i rozkosz. Jest jasne, że dla Wyspiańskiego temat pogody i temat rozkoszy miały być nawrotem do tych tematów dramatu, które zakłócił Chochół i sprowadzone przez niego zjawy. Finał dramatu ma zawiązać w sobie wynik całego dramatu. Jak więc ma wyglądać finałowy taniec? Próbujecie go sobie wyobrazić. Nie będzie w nim tej cmentarnej żałoby, jaką narzuciła wyobraźnia prapremiera. Ukażą się wam pary złączone ruchami pogodnymi, bolesnie nie ma i rozbańwione, z twarzami, na których zastygły uśmiech lub dręczące pytania, pary patrzące na siebie a nie rozumiejące się, pary somnambulicznie senne, nie słyszające nic prócz muzyki, która je utrzymuje we śnie, tupocące ciężkimi butami, a w chwilach sennej werwy podzwaniające stroikami ze świecidełek. Taki taniec zawiązałby w sobie to, z czego ci ludzie wyszli i zawiązałby straszny nawrót do tego, z czego wyszli. Taki taniec miałby w sobie artystyczną logikę podwójnego symbolu. Trudność, jaką nasuwa jego ukształtowanie, nie zwalnia nas od obowiązku uświadomienia sobie dotychczasowego błędu.

Tadeusz Peiper

W poprzednim 47 (104) numerze „Odrodzenia” z dnia 24 listopada 1946 r.: Franciszek Gil: Dokopujemy się początków tysiąclecia. — Artur Sandauer: Literatura fatalistyczna. — Kazimierz Brandys: Przyjaciele z „Kuźni Młodych”. — Gawrili Dierżawin: Ostatni wiersz. — Jules Supervielle: Wspomnienie. — Stanisław Kamocki: Pejaż. — Ryszard Matuszewski: Zjazd literatów w Łodzi. — Julian Przytyk: Duchy poetów i przekład. — Anna Bartling (ilustr. Tadeusz Konwicki): Odwiedziny szwedzkie. — Tadeusz Dobrowolski: Jeszcze o przestrzeni malarzkiej i „pluralis maiestaticus” czyli dr Jekyll i mr Hyde. — Alojzy Majcher: Akt. — wn: Kronika francuska. — Jacek Frühling: Czy naprawdę „Inne Niemcy”? — Konstanty Grzybowski: Dzieje niewyżytkanych możliwości. — Zygmunt Nowakowski: Nurtu ciąg dalszy. — Jaszcz: Przegląd prasy. — Stefan Papée: Wśród książek. — Tadeusz Konwicki: Opowieści lotnika. — kjjw: Szkoła krytyków. — Tadeusz Peiper: „Fantazy” w teatrze im. Słowackiego. — 12 ilustracji. — 12 stron.

Chwila klęski

Antoni Słonimski. Wybór poezji. (Kraków), „Czytelnik”, 1946; str. 197 i 3 nl., z portretem autora.

Niczym nie uderza, nie otwiera krajów nowych — pełen muzyki, biograficznych wspominków, elegijny tom poety. Rytmu tak często rosyjskie (więcej niż u któregośkolwiek z polskich poetów) przynoszą echa Puszkina...

Wybór podzielony jest na trzy części: okres wcześniejszy reprezentuje cykl „Młodość”, do którego włączona jest „Wieża Babel” z 1926 r.; „Wiek męski” sięga po wrzesień 1938; za czasów emigracji powstały wiersze zebrane pod wymownym tytułem „Wiek klęski”...

Część pierwsza, bogatsza, dobrze reprezentuje wartości właściwe twórczości poety, część trzecia, zgodnie z tytułowym wyznaniem, nie jest zwyczajem ani w dziedzinie postawy moralnej wobec świata, ani w zakresie płonów poetyckich.

Przyciągający uwagę tytuł „Wiek klęski” nie zdaje się przecie wykładnikiem tomu, bilansem czy szuszną oceną przyszłych możliwości poety: raczej chwila klęski, bardzo ciężki do przejścia i przewalczania dla wielu okres w historii i we własnej biografii — a przecież tylko okres, z którego tacy jak ów poeta głęboko człowieczy — znajdują wyjście.

Właściwością poezji Słonimskiego jest obecność w niej człowieka. U te-

go pisarza sam tzw. „ładny wiersz” nigdy nie da słuchaczowi zapomnieć o charakterze człowieka, który go mówi. Z poezji Słonimskiego pozostanie żywy i człowiecze cenny zamiar — wtedy, gdy przynależność do pewnej szkoły i manieri pozbawi już aktualności formę wypowiedzi. Dlatego jego wiersze mają znanie własności, którego nie da się im odjąć. (Nie o wszystkich utalentowanych można to powiedzieć).

Treścią ideologiczną tomu jest konflikt moralny, w jaki popadł twórca, który poezję pojmował jako czyn rewolucyjny przede wszystkim — a ujrzał się w historii pozbawionym możliwości wybrania jakiegokolwiek drogi czynu, biernym „dezertorem ze świata”. Nie łatwo się z tym pogodzić autorowi „Czarnej wiosny”, w której ogień chęci — żeby użyć określenia bliskiego ukochanej i pokrewnej poecie miokiewiczowskiej „Ody” — wcale nie wygasił. „Gorący”, „gniewny”, „burzliwy”, „ciemny” — nie darmo słowa te tak często spotykamy w jego poezji, są one wiernym wyrazem charakteru: temperatura uczuciowa nie daje materiałowi zastygać w obrazy, lecz każe wypowiadać wzruszenie w formie jeszcze nie uprzedmiotowionej. Piękny wiersz „Wiosna warszawska” jest najlepszym świadectwem tej postawy poety: schematyczno-symboliczny (dziewczyna, robotnik, modlitwa), przemawia mową jasną i wyraźną,

patosem sprawy społecznej i narodowej — z tragicznego dystansu tęsknoty. Patriotyzm, pacyfizm, chrześcijaństwo — te znane nam już składniki poezji Słonimskiego — barwi głębsza niż przed wojną nostalgia.

Charakterystyczny zarówno dla tematyki, jak dla wyrazu artystycznego jest przeważający w poezji Słonimskiego moment autobiograficzny. W tym tonie przybrał on szczególnie już charakter „zwrócenia się w przeszłość”, postawy jakże bardzo świadomie paselistycznej wobec życia, w którym autor czuje się obcym, niewspółczesnym. Właściwość ta, której towarzyszy pewien sentymentalizm (nie od dziś w poezji Słonimskiego), spowodowała anemiczność, monotonię i ubóstwo ostatnich wierszy. Są przede w części drugiej i w „Wiek klęski” nie noszące skazy słabości „szczerze” liryki: „Na rzecę”, „Łomianki”, „Pożegnanie Czorsztyna”, „Białe noce”. Spotykamy w nich ton prostoty puszkiniowskiej. Najdalsza to od odkrycia nowości, od „udziwnienia” świata poezja. I równie zasługująca na miano poezji, jak tamta, odkrywająca nowy świat, z trudem i ascezą nieraz prowadząca po skalistych ścieżkach, zdobywanych po raz pierwszy. „Odkrycia geograficzne” w tej dziedzinie, mimo całego swojego patosu, nie odbierają uroku „starym łądom” — przeciwnie, znajdujemy w nich dzięki temu może nowy smak... Nie żądają te wiersze nicze-

go od czytelnika w przeciwieństwie do niespokojnej, niepokojącej i wymagającej poezji nowoczesnej. Są zupełnie już „dokonane” przed współpracą czytelnika, są już tak dalece dokonane, że i minione dla autora, który też podaje je tak, jak jaki Owidiusz współczesny „na wygnaniu u barbarzyńskich wybrzeży historii” — swoje trista.

Liryka ta dostępna i bardzo przemawiająca, bo odznacza się przede wszystkim czarującą melodyjnością (częstym środkiem poety jest echa: „I w Letnim Parku, w letnim zmroku, Owiewa wiatr kwitnące drzewa”) i rytmicznością wiersza. — Jest popularna w dodatku znaczeniu tego słowa. De tego rodzaju należą obok „Wiosny warszawskiej”, „Drzewa”, „Rozmowa”, „Orkiestra”.

Obok muzikalności drugą właściwością poezji Słonimskiego jest jej konstrukcja dialektyczna. Ulubioną formą jego jest rozmowa (monolog wewnętrzny lub dialog: „Dwie oczy”, „Rozmowa”, „Krzak głogu”), oparta na symetrycznym rozłożeniu antytez w budowie zdania i wiersza. Na tej zasadzie retorycznej oparte jest też nie tylko frazowanie, lecz i cała kompozycja utworu. Wielkie zacięcie publicystyczne Słonimskiego w połączeniu ze wspomnianą muzikalnością jego wiersza daje dobre osiągnięcia poetyckie. Mimo słownictwa i rekwizytów nie tylko skamandryckich, ale jeszcze romantycznych

(szczególnie zamiłowanie do motywu śmierci), posiada ta poezja treść przeżycia intelektualno-emocjonalnego zawsze żywą, zawsze in actu, i choć retoryczna, nie jest pusta, chłodna. Różnorodność i bogactwo reprezentuje raczej wybór utworów wcześniejszych. Wiersze włoskie i erotyki świadczą, że atmosfera zwykłego ludzkiego szczęścia bardziej sprzyjała tej twórczości poetyckiej. (Krajobraz nastrojowy, motywy podróży przyjmowane i wyrażone w sposób pokrewny Iwaszkiewiczowi, np. mimowolne echa: „Kwadraty żółtych domów jak miodowy plaster”). Pejzaż liryczny, u Słonimskiego o wiele dyskretniej podawany i „dozowany” niż u innego, najbardziej reprezentatywnego poety szkoły skamandryckiej, przez to, że nie nadużywany, bywa fascynujący: „Księżyc... skacze po wzgórzach brunatnego nieba”, „Gwiazdista piersią wsparta na firancie noc do pokoju zagłada gorącą”. Więcej jednak niż „najbardziej romantyczna” przyręba interesuje go własna walka ze światem, tocząca się przez jego całe, baro samocone, czego jest ciągle świadomy, życie. Konflikt natury obcej „zamykaniu się w wieży słoniowej” ze świadomością nieuleczalnej samotności i niewspółczesności swojego stanowiska — jest treścią lirycznych refleksji poety.

Janina Pregerówna

Otwarty rachunek

Buletyn Głównej Komisji Badania Zbrodni Niemieckich w Polsce. I. (Warszawa), 1946, str. 314 i 2 nl i 49 rysunków, zdjęć, map i obwieszczeń. — Zbrodnia niemiecka w Warszawie 1944 r. Zdjęcia. Opracowali Edward Serwański i Irena Trawińska. Przedmowa poprzedził Zygmunt Wojciechowski. Documenta Occupationis Teutonicae II. Poznań, Instytut Zachodni 1946; str. 246 i 2 nl i 24 zdjęć i 2 nl.

Prace zawarte w pierwszym tomie wydawnictwa Głównej Komisji Badania Zbrodni Niemieckich w Polsce oparte są na materiale dokumentarnym, zdobytym metodą śledztwa przez prokuratorów i sędziów. Materiały opublikowane przez Instytut Zachodni są zeznaniami świadków powstania warszawskiego. Zebranie tych dokumentów zawdzięczamy samorządnej działalności, przeprowadzonej „na gorąco” podczas ewakuacji ludności z płonącej jeszcze stolicy. Oba wydawnictwa uzupełniają się, stwarzając obraz terroru niemieckiego w Polsce.

Wprowadzają one w epopeję męczeństwa. W żadnym innym kraju, dotkniętym przez najazd Niemców, nie osiągnęło ono takiego stopnia i takich rozmiarów jak w Polsce i ZSRR, gdzie okupant, wyzbywszy się wszelkich hamulców, nie dbał o zachowanie pozorów.

Z. Czyńska i B. Kupś opracowali relacje o obozach na podstawie szczegółowej ankiety Ministerstwa Sprawiedliwości, skierowanej do wszystkich sądów grodzkich. Objęto nią obozy zagłady („Vernichtungslager”), koncentracyjne („Konzentrationslager”), pracy („Arbeitslager”), w tym dla Żydów („Judenlager”), część przejściowych i przesiedleńczych („Durchgangslager”), pominięto zaś obozy jeńców wojennych. ghetta żydowskie, przeważną część obozów dla osób cywilnych internowanych, obozów dla zakładników i obozów urzędów pracy, wszystkie obozy robotników wschodnich („Ost-arbeitslager”) i służby budowlanej („Baudienst”), wreszcie obozy wszelkich typów poniżej 100 osób dziennego stanu liczebnego.

Sam spis obozów liczy 36 stron druku. Figuruje w nim 4 obozy zagłady (Bełżec, Chełmno, Sobibór i Treblinka), 3 koncentracyjne (Majdanek z jedną filią, Oświęcim i 20 filiami — prócz nich Oświęcim miał jeszcze 22 filie, tj. łącznie 42 — Sztutowo z 20 filiami), 434 obozów pracy

w 11 województwach i 18 obozów przejściowych i przesiedleńczych. Dla lepszej organizacji dodano mapę obozów.

Cała gigantyczna aparatura służyła do jasno określonego celu: „Żydzi mieli zostać całkowicie wyćpieci jeszcze przed końcem wojny, zaś Polacy, zanim podzieliliby ich los, przeznaczani do niewolniczej służby Niemcom”.

Kolejne trzy rozdziały stanowią monografie: J. Sehna o obozach koncentracyjnych i zagłady w Oświęcimiu, Z. Łukaszewicza o Treblince i W. Bednarza o Chełmnie. Niemiecka nauka ma również swą kartę w dziele. Tak np. profesor uniwersytetu we Wrocławiu, dr inż. Zunker, badał na polecenie Himmlera wodę i wydał orzeczenie pisemne, że „woda używana w obozie oświęcimskim nie nadaje się nawet do płukania ust”. Więźniowie Oświęcimia rekrutowali się głównie spośród Polaków i Żydów, ale skład obozu był iście międzynarodowy; 28 narodowości miało tu swoich reprezentantów w więźniach i ofiarach. Liczba ofiar szacowana jest na około 5 milionów. Metody uśmiercania: gaz, piec, rozstrzelanie, szubienica, zastrzyki, eksperymenty naukowe, warunki mieszkaniowe, głód. Fotografia nr 33 przedstawia więźniarkę nr 44884, ur. w 1914 r., Polkę, wzrostu 160 cm i wagi 25 kilogramów. Przed aresztowaniem ważyła ona 75 kilogramów.

W Treblince mordowano Żydów (zginęło co najmniej 750 tysięcy osób), nadto również pewną ilość Cyganów i Polaków. W komorach gazowych był czynny m. in. Mathias Welfer, „z pochodzenia Niemiec, jednak podobno obywatel USA”. W najmniejszej „rozreklamowanym” obozie w Chełmnie, obok Koła, 60 km od Łodzi, z 340 tysięcy przywiezionych Żydów ocalało czterech. Narzędziem śmierci były tu samochody-komory gazowe, tzw. Sonderwagen.

W gruntownym artykule dr F. Friedmana przedstawiono zagładę Żydów polskich. Pomiędzy twierdzeniem że „polityka fizycznego wyćpienia Żydów polskich była już zadecydowana na początku wojny 1939 r.” (str. 172) i że „konceptja zupełnego wyćpienia ludności żydowskiej krystalizuje się najprawdopodobniej już w miesiącach wiosennych 1941 r. przed kampanią sowiecką” (str. 186) — jest wyraźna sprzeczność. Najprawdopodobniej

wypadnie przyjąć tezę, że program „Ausrottung” kształtował się z biegiem wydarzeń, a realizowano go w kierunku od wschodu na zachód. Na samym obszarze Polski autor wyróżnił słusznie etapy: okres „małego terroru”, „zimnych pogromów” tj. dyskryminacji i gospodarczej ruiny, oraz akcji likwidacyjnych w ghetach i obozach.

Ostateczny bilans?

Wedle dra Friedmana, z 3,5 miliona Żydów na obszarze Polski sprzed 1 września 1939, liczba uratowanych w kraju nie przekracza 50 tysięcy, ocalałych przez ucieczkę do ZSRR, Anglii, Szwecji, Szwajcarii, Rumunii i Węgier — około 200 tysięcy. Straty Żydów wynoszą więc 98%, globalnie 3 200 tysięcy. Z 2 600 tysięcy Żydów europejskich, którzy ponadto ponieśli śmierć, około milion zginęło na ziemiach polskich.

O egzekucjach publicznych w Warszawie w latach 1943—1944 pisze W. Bartoszewski. Po wstępnych aktach terroru i egzekucjach w ogrodzie Sejmowym, w Palmirach, w lasach kabackich i piaseczyńskich, przyszedł „Pawlak” w zniszczonym ghetcie, masowe rozstrzelania od maja 1943 roku, październikowe monstrze „łapanek”, oblavy i branka siły roboczej na wywóz do Rzeszy, w końcu pierwsza egzekucja publiczna 15 października 1943 roku. W tymże miesiącu było 10 egzekucji, w listopadzie 5, w grudniu 11; w r. 1944: w styczniu 4, w lutym 6, w marcu 4, w kwietniu 2, w maju 1, w czerwcu 1, razem 45. Ogólna liczba ofiar egzekucji publicznych w samej Warszawie wynosi około 8 000 — „przestępców, którzy jako członkowie PZP i PPR byli na żołdzie Anglii i Moskwy”, jak zawiadamiał w plakatach „dowódca policji bezpieczeństwa i SD na dystrykt warszawski”.

Należy przypomnieć: „Wobec tego, że w kilku wypadkach skazańcy wznosili przed śmiercią okrzyki patriotyczne („Niech żyje Polska”), w dalszych egzekucjach zakładano im worki, bądź przewiązywano usta szmatami, przepojonymi oszłamianą substancją. Potem zatykano nawet usta gipsem, a następnie zalepiano je leuplastem”.

W naturalnym i zdrowym odruchu myśl ucieka od wspomnień potwornej grozy. A jednak ściśle rejestrowanie jej kronik i szerzenie wiedzy o terrorze niemieckim ma wciąż doniosłe znaczenie. Dyktuje to zarówno pedagogika społeczna, jak prag-

matyzm polityczny, zwłaszcza że zbliżamy się do terminu, w którym na porządku dziennym obrad konferencji pokojowej znajdzie się sprawa Niemiec.

Doskonałym uzupełnieniem „Buletynu” jest „Zbrodnia niemiecka w Warszawie w 1944 roku”, tom dokumentów bezcennej wartości, wydanych wzorowo. Słowa: „Rzeź Woli” — wejda do klasycznej terminologii; wobec scen w Zieleniaku na Ochocie błędna opisy piekła.

„Straż nad spoczywającymi pełnili Ukraińcy. Pijani i rozwydrzeni krążyli z latarkami pośród leżących pokotem ludzi i świecili w twarze i wyszukiwali dziewczęta. Gdy tylko znaleźli młodszą kobietę, wyciągali ją przemocą i zabierali do „robót”. Nie szli dalej — pod parkan — i tam gwałcili je publicznie. Na szczęście było ciemno, ale tym bardziej przemawiały grozą krzyki i jęki męczonych: „Poniechaj mnie panie, mam 13 lat”, i ryki, i szlochy matek rzucających się na ratunek córek”.

Wartość relacji jest tym większa, że nie pomija się objawów deprawacji w łonie własnego społeczeństwa.

Niektórzy ludzie z Ochoty, nie licząc się z żadnymi względami, potrafili dobiec do Zieleniaka z tobołami wypchanyimi wszelkim dobrem a także żywnością. Potrafią i tutaj zdobyć sobie wodę. Rozpalają ogniska, nie bacząc, że dym jeszcze bardziej uprzyksza innym i tak już ciężki tutaj pobyt. Gotują strawę. Zapychają się niesamowitymi ilościami jadła. Ale na prośbę o garnuszek wody dla mdlejących dzieci — odmawiają.

Reprodukcje zdjęć dokonanych przez Alfreda Meusebacha, członka „Sprengkommando”, mają większą wymowę niż wstrząsające opisy; fizjonomie Niemców takich jak „Sprengmeister” Krause i „Obergruppenführer” Baumer nadają się do standaryzacji typu wojennego zbrodniarza.

Dokument drukowany przez prof. Z. Wojciechowskiego w przedmowie do książki starczy za tomy aktów dowodowych. Jest nim telegram znaleziony w materiałach Franka, wystosowany doń w dniu 11 października 1944 r. przez gubernatora warszawskiego Fischera: „Obergruppenführer von dem Bach hat den neuen Auftrag erhalten, Warschau zu pazifizieren, d. h. Warschau noch während des Krieges

dem Erdboden gleich zu machen... Ich gebe hiervon Kenntnis, da dieser neue Führerbefehl über die Niederlegung Warschau für die weitere neue Polenpolitik von größter Bedeutung ist”.

„Obergruppenführer von dem Bach otrzymał nowy rozkaz przeprowadzenia pacyfikacji Warszawy, zrównania Warszawy z ziemią jeszcze w czasie trwania wojny... Podaję to do wiadomości, ponieważ ten nowy rozkaz führera o zniszczeniu Warszawy ma olbrzymie znaczenie dla dalszej polityki wobec Polski”.

Pomiędzy niemiecką winą i karą jest dysproporcja. Również nauka wynikająca z lat niemieckiego terroru jest nieproporcjonalna w stosunku do rozmiarów ofiar i kosztów zapłaconego rachunku. Daleko jeszcze do tego, by nauka ta zrobiła swoje u nas, w Polsce, gdzie wszystkim widzieliśmy na własne oczy i odczuwaliśmy na własnej skórze. Cóż dopiero mówić o Zachodzie? Tam, gdzie prezbiterianie i katolicy prześcigają się we współczuciu dla „biednych” Niemców.

Obie książki powinny być wydane w języku angielskim. Wtedy będą mogły przyczynić się do tego, by w przyszłości oddać Niemcom to, co sprawiedliwe i rozumne.

Józef Sieradzki

Rocznik „Ludu”

W pięćdziesięciolecie istnienia Towarzystwa Ludoznawczego ukazuje się XXXVI tom rocznika „Lud” za lata 1939—1945. Tom zawiera 30 arkuszy druku, 24 ilustracje. 5 map. Cena 480 zł. dla członków Towarzystwa 300 zł. Część ogłoszonych w roczniku rozpraw naukowych jest do nabycia w osobnych odciskach. W najbliższym czasie ukaze się jako I tom „Prac Etnologicznych” — „Zarys językoznawstwa ogólnego” Tadeusza Milewskiego.

Konkurs na jednoaktówkę

Wydział Kultury i Propagandy Centralnego Komitetu Żydów Polskich ogłasza konkurs na jednoaktówkę. Temat: opór moralno-polityczny i walka czynna narodu żydowskiego o swoje istnienie. Jednoaktówka musi odpowiadać ogólnym warunkom małych scen i kłudów. Wyznaczono 6 nagród: pierwsza 10 000 zł. (jedna), druga 5 000 zł. (dwie), trzecia 3 000 zł. (trzy). Termin nadsyłania prac upływa 31. XII 1946 r. Autorzy mogą posługiwać się pseudonimem albo znakiem, zaś w zamkniętej kopercie załączyc nazwisko, imię i adres. Informacji udziela Centralny Komitet Żydów Polskich. Wydział Kultury i Propagandy, Warszawa, Sienna 60.

WILHELM MACH

Ten i tamten brzeg czasu

Jerzy Putrament. Święta kulo. Opowiadania. Kraków, „Czytelnik”, 1946; str. 176 i 2 nl.

Tom opowiadań pt. „Święta kulo” jest prozatorskim debiutem Jerzego Putramenta. Opowiadania pomieszczone w tym zbiorze były pisane w latach 1936—1945, a więc data utworu najwcześniejszego i rok wydania książki zamykają całe dziesięciolecie, okres czasu dostatecznie długi, aby zobowiązywał pisarza do pełnej odpowiedzialności artystycznej za jakość prezentowanej prozy.

Trzeba jednak powiedzieć od razu, że proza nie leżała w centrum literackich ambicji Putramenta. Co najwyżej stanowiła jego „dodatkowe zajęcie” pisarskie, uprawiane obok poezji, a w czasie wojny i później — również na marginesie innych jeszcze prac: służby żołnierskiej i działalności publicystyczno-politycznej. Ilość lat, oddzielających książkową edycję opowiadań od pierwszych prób nowelistycznych, nie jest przeto wyrazem dążenia do pełnej dojrzałości pisarza-prozatora, świadomego odrębnych zasad obowiązujących w tej dziedzinie twórczości literackiej i — co za tym idzie — ostrożnego w traktowaniu „prawa druku” tak długo, dopóki nie zdobędzie pewności absolutnego opanowania owej specjalnej dyscypliny; tym mniej nie tłumaczy się powolny rytm wzrastania pierwszej książki Putramenta-nowelisty upartą ambicją korektorską i szlifującą na wzór legendarnych już wysiłków Flauberta czy Balzaka. Uważny wgląd krytyczny w książkę Putramenta uprawnia w rezultacie do postawienia jej w jednym rzędzie z tego rodzaju publikacjami najświeższej doby, które można by nazwać „książkami pospieszonymi”. W określeniu tym nie wolno dopatrywać się sugestii pejoratywnej, gdyż obydwa typy: i książki „benedyktyńska” („Mury Jerycha” Brezy mogą u nas służyć za przykład) i „pospieszna” — mają swoje uroki i swoje przywary. W naszym przypadku mamy do czynienia z prozą świeżą, niewymuszoną bo nie przemęczoną poprawkami, daleką od laboratoryjnego pichcenia, bezpośrednio przemawiającą do wrażliwości czytelnika, spontaniczną niejako; takie wrażenie wywołuje w każdym razie większa część książki, ta mianowicie, która zawiera cztery opowiadania „wojenne”.

Zaraz jednak należy do tej oceny wprowadzić ważną poprawkę, dotyczącą dwóch pierwszych utworów: „Dwie twarze nocne” (1936) i „Szkło w żółtym domu” (1937). Umysłnie używam określenia „utwory” a nie „opowiadania” (choćby autor tak właśnie ochrzcił w podtytuł całość swego zbioru), gdyż istotnie nie są one opowiadaniem w sensie ustalonym przez rygory odnośnego gatunku literackiego. W przeciwieństwie do pozostałych, pisanych „na gorąco” opowiadań wojennych, obydwa omawiane utwory odznaczają się bardzo starannym wypracowaniem formalnym. Szczególnie „Dwie twarze nocy” prezentują się jako prawdziwy pokaz troskliwej, czelatorskiej wprost kosmetyki stylistycznej.

Rzuka się w oczy różnica pomiędzy dwoma grupami utworów: „przedwojennych” i „wojennych”. Pierwsze pisał poeta. A raczej przede wszystkim poeta. Bo pisał je także filozof-myśliciel. Obydwaj zresztą pogodzili się doskonale co do formy, w jakiej wypowiedzą, wyrażą przeznaczony ku temu materiał myślowy. Poeta udział swój w pracy zaznaczył dobitnie, tak, aby nie było żadnej wątpliwości co do obranego przezeń typu manifestacji artystycznej. „Dwie twarze nocy”, które — umieszczone na czele książki — istotnie mogą uchodzić za literacką metrykę czy legitymację dla tendencji tamtych, przedwojennych lat (i to nie tylko u Putramenta), umożliwiają nazwanie tego typu twórczości: w jednej z naczelnych rubryk owej metryki, w tej mianowicie, która wypytuje o pochodzenie uprawianego rodzaju pisarstwa, znajdziemy odpowiedź: ekspresjonizm. Więc, oczywiście supremacja wyrazu, sugestii nastroju — nad treścią narratywną, podaną wprost, znaczącą dosłownie tyle, ile znaczy tekst, który je podaje. Więc koligacje nietrudne

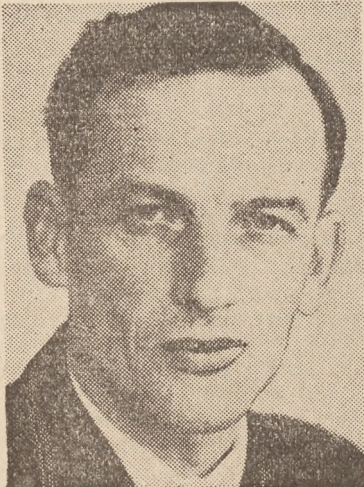
do przewidzenia, z symbolizmem: doniosłość znaku aluzji, metafory pojęciowej, abstrakcji, uogólnienia, sensów alegorycznych i parabolicznych — z pokrzywdzeniem konkretnego, faktu jednostkowego, realiów. Więc od personalistów zapożyczony, ironicznie-bolesny uśmiech nad losem ludzkim uwikłanym w sprzecznościach, agnostyczne zwątpienie, cień wielkiej tajemnicy: noc, w której rozgrywa się niewiadomy dramat Leonczuka i Dawłuda — noc oświetlona łuną zagadkowego pożaru, którego autor nie wyjaśnia „przyczynowo”, „po ludzku”. A przy tym wszystkim — również z tej samej sfery pojęć i przekonań zapożyczone: „contra spem spera!”

Niepostrzeżenie oddaliśmy się od wyjściowej pozycji poety-ekspresjonisty. Początkowa równoległość dróg poety i filozofa poczyna ulegać rosnącemu rozwarciu, zmienia się w coraz to większe rozwidlenie. — Padło tu słowo personalizm, z racji niektórych zapożyczeń widocznych w postawie autora; sprawa domaga się znowu wniesienia poprawki, która wytłumaczy ów rosnący kąt rozwarcia pomiędzy najdawniejszymi a nowszymi utworami Putramenta. Otóż stanowisko pisarza wobec osobowości ludzkiej, wobec roli jednostki w świecie, jest odrębne — różne od stanowiska tych pisarzy-ekspresjonistów, którzy miarą wszelkiej prawdy o życiu i „świecie” czynili podmiot odczuwający i przeżywający, tzw. „jaźń”, a najczęściej — samych siebie; stąd szedł krzyk o hegemonii osobistych objawień, o uznaniu ważności i niezależności autonomicznych, jednostkowych doznań, stąd walka o prawa indywidualności i walka o prawa indywidualnej „expressio”. Był w tym dążeniu niewątpliwie szlachetny rys bojuwania o wolność, tyle że w tak pojętej wolności kiełkowało zatrute ziarno dekadencji samowoli.

Putrament patrzy na osobowość ludzką inaczej: centralnym jego zainteresowaniem jest nie jednostka, lecz człowiek, człowiek w ogóle. Jeśli zajmuje się jednostką — to o tyle, o ile jej cechy i jej sprawy pozwalają w jaśniejszym świetle zbaczyć ogólne związki, stosunki i zależności międzyludzkie, — o ile przydać się mogą dla indukcyjnego, syntetyzującego postępowania poznawczego. Putrament nie wyszukuje wśród zbiorowości wyjątków, lecz poprzez wybrane, typowe jednostki stara się skonstruować społecznie ważną i obowiązującą regułę. — I ta właśnie inklinacja zdeteminowała przejście Putramenta-prozatora z pozycji poetyckiego ekspresjonizmu na pozycję „społecznego realizmu”. Inklinacja, którą, teraz dopiero wypada powiedzieć to wyraźnie — można odkryć już w tym pierwszym, tak z pozoru „formalistycznym”, wyrafinowa-

nie poetyckim utworze — w „Dwóch twarzach nocy”.

Przegląd treści czterech opowiadań: „Ten i tamten brzeg mostu” (1940), „Święta Kulo” (1944), „Wielkanoc” (1945) i „Początek eposu” (1944—45), orientuje w różnicy, dzielącej opowiadania „wojenne” od dwóch wcześniejszych. Sama łatwość uchwylenia ich fabuły, podanej z prostotą, bezpośrednio, — fabuły, która jest celem sama w sobie a nie tylko



Jerzy Putrament

pomocniczą trampoliną dla znaczeń parabolicznych — dowodzi zerwania z modnymi przed wojną skłonnościami do stylizowanej doformacji, na rzecz techniki pisarskiej, wspartej o fakturę środków proponowanych przez „nowy realizm”.

Trzeba stwierdzić, że początkowa „spółka autorska” poety i myśliciela wzbogaciła się o towarzystwo i współudział kilku nowych osobowości: żołnierza, pedagoga, socjologa, a wreszcie inżyniera-budowniczego, którego ambicją stało się dostarczony przez resztę akcjonariuszy materiał-budulec ułożyć w architektoniczną konstrukcję; aby rozjaśnić zaraz te metafory powiem, że owa architektura w opowiadaniach Putramenta oznacza dialektykę: fakty i zdarzenia nie wystarczają autorowi, służą za przesłanki do wysnucia wniosku. Toteż każde opowiadanie, gdy idzie o zawarty w nim materiał treściowy dotyczący spraw ludzkich, przedstawia się jak syllogizm, czasami aż nazbyt pedanteryjnie wypracowany. Sprawy prezentowane przez Putramenta układają się w dobitnie zaznaczone ciągi dowodowe, które ani na chwilę nie pozwalają czytelnikowi zapomnieć, że ma właśnie do czynienia z realizmem społecznym i humanistycznym.

Jak natarczywie może być takie stawianie kropek nad „i”, — ukazuje najlepiej — jako przykład — opowiadanie „Ten i tamten brzeg mostu”. Mamy więc w pierwszym rozdziale długą relację głównego narratora,

owego bohaterskiego żołnierza, który wysadził most; mamy w drugim rozdziale jako ważki „przyczynek”, relację drugiego narratora, która dyskredytuje niepotrzebne bohaterstwo tamtego, poszerzając naszą wiedzę o sytuacji frontowej w sposób dostępny niejako na wyższym szczeblu sztabowych wtajemniczeń. Sprawa jest jasna, zarysowana wyraziście, tłumacząca się sama przez się. Sam autor pisze: „teraz mógłbym zakończyć opowieść”. Ale nie kończy — i dodaje „programowy” komentarz, że ci pułkownicy-karierowicze... że sanacja, że zdrada itd. — jednym słowem — jest to zaokraglenie rzeczy o ostatni człon dialektyczny. Od mostu na Bugu do Polski przedwrzesniowej. Słuszne to merytorycznie, ale zbyt techniczne artystycznie. W całości konstrukcji literackiej jest takim samym błędem, jak pleonazm w pojedynczym zdaniu.

Owa „dokładność”, skłonność do wypowiedzenia **wszystkiego naraz** przy każdej okazji jest wynikiem przestoju postawy intelektualnej ponad postawę epicką. Postawa epicka każe dawkować słowa w zgodzie z pewną ściśle określoną konstytucją, i nie może ich być więcej, aniżeli zezwalają na to okoliczności „realne”.

Z zapobiegliwości „architekta”, układającego materiał w symetryczne konstrukcje według schematu: od zdarzenia konkretnego do coraz to rosnących uogólnień (coś na kształt rosnących odśrodkowo kół — predylekcja kompozycyjna dająca się wykryć już w „Szkole w żółtym domu”) — wynika, jako konsekwencja pochodna, szczególny sposób traktowania postaci. Otóż u Putramenta prawie że nie spotykamy opisu postaci pod względem jej indywidualnego wyglądu zewnętrznego a nawet cech charakteru. — Stawiając postaci — autor z góry ubiera je w te tylko właściwości, które pozwolą ustawić równanie X. Y. = człowiek w ogóle, a przynajmniej **typ**. Opowiadacz w „Tym i tamnym brzegu mostu”, a także ludzie, o których oni mówią — to na wpół tylko ucieleśnieni jako **indywidua** symboliczni niemal reprezentanci „arcy polskich” cech; to nie osoby, lecz personifikacje. Bohater „Świętej Kuli” Bukacki — podobnie; przedstawia on tę część społeczeństwa, która się wywodzi bodaj z c. k. Galicji — ludzi ufnych w prawo, obojętnych kto je dziurzy, ludzi lojalnych, „legalnych”, potulnych. Osoby występujące w „Wielkanocy” są wprawdzie indywidualnie wyraziste w rysunku psychologicznym, lecz pozbawione wyglądu zewnętrznego, twarzy. Twarze pojawiają się, i to obficie, jedynie tylko w „Początku eposu”, ale autor nie ukazuje ich „bezinteresownie: służą one bowiem znów nadrzędnej zasadzie **typizującego uogólnienia**. — Dykij, burmistrz-Ukraińiec, polityczny spekulant, wygląda zaiste tak, jak

tego rodzaju **typ** wyglądać powinien: „...trupia maska o głębokich, czarnozielonych oczodolach... Starczo cienkie usta były zaciśnięte z przesadną zawziętością. Oczka zmrużone. Chuda brodka sterczała wzniesiona do góry, bura i niesforna”. Takich Dykijów było zaiste setki! — Podobnie „wytypowani” są trzej „mołojcy” eskortujący Józefiaka.

Streszczając uwagi poczynione na temat wyników współpracy literackiej poety, filozofa, pedagoga, architekta i żołnierza, współpracy, której zbiór opowiadań „Święta kulo” zawdzięcza duże bogactwo treści i różnorodność traktowania i interpretacji tej treści — trzeba w końcu przyznać, że najlepiej ze wszystkich „udziałowców” tej kooperatywy zasłużył się realistycznej prozie — **żołnierz**. Wszyscy inni, bądź optowali na rzecz wartości dla interesów prozy nienajistotniejszych (poeta poetyzował, filozof abstrahował, polityk i pedagog rezonowali...), bądź przesadzali w akuratności sformułowań intelektualno-dialektycznych (poza poetą cała reszta starała się jak mogła...). Żołnierz o brał częściej najlepszą: obserwował, zapamiętywał i opowiedział, co widział i przeżył — barwnie, plastycznie, z niepowściągniętą swadą narracyjną, językiem pięknym, jednym, obrazowym. Jego to głównie zasługa, że książka pulsuje żywą krwią, że się barwi nieklamnym rumieńcem życia, że jest — krótko mówiąc — lekturą naprawdę zajmującą. Pierwsza i główna część „Mostu”, obrazy urlopowego życia żołnierzy w „Wielkanocy” i cały „Początek eposu” — to jego wkład, jego sukces! Z łatwością przyjdzie mu więc darować niektóre drobne uchybienia wobec rygorystycznych konwencji formy, jak np. zbyt częste używanie skrótowego „i t. d., i t. p.” w „Początku eposu”, w miejsce niedopowiedzianych, bo zbyt dosadnych wyrażań, przekleństw i wymyślań: może lepiej by było przetrzebić raczej samą przyczynę „zawstydzeń”, a więc wyciąć z niem w wszystkie niecenzurualności — w każdym razie taki sposób redukcji tekstu przysługuje co najwyżej postaciom w „oratio recta”, w dialogach, ale w relacji, „od autora”, wygląda to jako zbyt kokieteryjnie czy konfidencjonalnie... Czytelnik chętnie złoży jednak te niewielkie niedociągnięcia na karb licencji żołnierskiej.

W rozpatrywaniu prozy Putramenta trzymałem się przez cały czas sztucznego rozszczepienia osobowości autora na cały szereg wyróżniających się dyspozycji twórczych, które dla uproszczenia nazywam „spółką-pisarską”. Ułatwiło to analizę tekstu, lecz równocześnie, mogłoby wywołać w czytelniku fałszywe wyobrażenie, że w tym „towarzystwie akcyjnym zabrakło miejsca dla członka najważniejszego, a mianowicie — dla pisarza — **prozatora**. Dla prozatora — jak się to mówi — „jako takiego”. Temu wyobrażeniu pragnę, gwoili sprawiedliwości — zapobiec. Putrament-prozator nie jest prozatorem „z łaski” tej czy innej, wyizolowanej i wyodrębnionej z całości, kategorii swych zainteresowań, upodobań i skłonności. Prozator jest **jedyn**: skupia on w sobie, ogniskuje, gromadzi i przetwarza, czego dostarczają mu wszystkie wyszczególnione „wyglądy” jego bogatej indywidualności. Ale gdyby nawet pozbawić autora i uzdolnień poety, i ambicji „pedagoga społecznego”, i zamiłowań do dialektycznych spekulacji, a nawet doświadczeń i przeżyć żołnierza — to i tak ostałoby się w książce dość kart świadczących o talencie Putramenta-**prozatora**. Ostałyby się przede wszystkim dwa opowiadania, poczęte z uzdolnień **czysto epickich**: „Święta kulo” i w większym jeszcze stopniu — „Wielkanoc”. — W sumie zaś cały zbiór opowiadań świadczy, że Jerzy Putrament, pisarz dojrzały jeszcze przed wojną, wzbogacony w ciągu sześciu lat wojennych o nową wiedzę życia i o nowe środki artystyczne, stanął na brzegu nowego czasu i nowej literatury pewną i mocną stopą.

Wilhelm Mach

TYDZIEŃ BIBLIOGRAFICZNY

POEZJE

Lucjan Szenwald. Utwory poetyckie. Łódź, „Książka”, 1946; str. 247 i 3 nl i 1 ilustracja. — 200 zł.

Grzegorz Timofiejew. Wysoki dom. Wiersze. Łódź, „Książka”, 1946; str. 83 i 9 nl. — 150 zł.

Biblioteka Arcydzieł Poezji i Prozy. Nr. 1. Juliusz Słowacki. Ballady. Tragedia w V aktach, opracował Stanisław Pięgoń. Kraków, M. Kot, 1946; str. 179 i 1 nl. — Nr. 2. Juliusz Słowacki. Anelli. Tekst przygotowała i objaśniła Dr. Mieczysława Romankówna. Tamże; str. 47 i 1 nl. — Nr. 6. Kazimierz Brodziński. Wiesław. Sielanka krakowska. Opracowała Dr. Mieczysława Romankówna. Tamże; str. 26 i 2 nl. — Nr. 7. Adam Mickiewicz. Grażyna. Powieść litewska. Opracował Stanisław Pięgoń. Tamże; str. 53 i 3 nl. — Nr. 15. Juliusz Słowacki. Jan Bielecki. Ojciec zadumionych. Opracował Stanisław Pięgoń. Tamże; str. 53 i 3 nl.

PROZA LITERACKA

Balzac. Komedia ludzka. Ostatnie welenie Vautrina. Przełożył i wstępem zaopatrzył Tadeusz Żeleński (Boy). Wydanie nowe. Kraków, „Książka”, 1946; str. 284 i 2 nl. — 170 zł.

Jan Dobraczyński. W rozwalonym domu. Powieść. Warszawa, „Czytelnik”, 1946; str. 255 i 1 nl.

Jan Huszcza. Łbem o ścianę. (Inowrocław). „Książka”, 1946; str. 130.

Stefan Otwinowski. Nagrobek. Powieść. Łódź, „Książka”, 1946; str. 143 i 1 nl. — 150 zł.

Biblioteka Prozaików Polskich. Michał Rusinek. Pluton z dzikiej łaki. Wydanie II. Warszawa, E. Kuthan, 1946; str. 327 i 1 nl.

Biblioteczka Teatralna. Nr. 4. Rok 1846 w Krakowie. Montaż historyczny w opracowaniu Jerzego Ronarda-Bujańskiego i Kazimierza Lepskiego. Warszawa, E. Kuthan, 1946; str. 29 i 3 nl.

Zofia Szwarczkowa. Gizela, dziecko ludu polskiego. Powieść. Kraków, St. Kamiński, 1946; str. 310 i 6 nl. — 280 zł.

Jerzy Putrament. Święta kulo. Opowiadania. Kraków, „Czytelnik”, 1946; str. 175 i 3 nl.

Ludwik Solski. 1875—1945. Na uroczystość 70-lecia pracy scenicznej Ludwika Solskiego. Kraków, Wydawnictwo Teatru im. Słowackiego, 1946; str. 30 i 2 nl.

Pisarze Polski Podziemnej. Roman Bratny. Ślad. Nowele. Warszawa, E. Kuthan, 1946; str. 196 i 4 nl.

Pisarze Polski Podziemnej. Witold Zalewski. Śmiertelni bohaterowie. Nowele. Warszawa, E. Kuthan, 1946; str. 171 i 5 nl.

HISTORIA, GEOGRAFIA, NAUKI PRZYRODNICZE

Sebastian Bedzikiewicz. Nazwy geograficzne obu półkul ziemi jako wynik uniwersalnego prawa natury i drogowskaz do nowych odkryć w zakresie elektrycznej natury wszechświata. Biuletyn I. Kraków, 1946; str. 14 i 2 nl.

Wł. Brus. ZSRR a wojna polsko-niemiecka w 1939 roku. Łódź, „Książka”, 1946; str. 69 i 3 nl.

Jerzy Konopka. Położenie gospodarcze Polski współczesnej. Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1946; str. 31 i 1 nl.

Biblioteka Słowiańska Komitetu Słowiańskiego we Wrocławiu. T. I. Karol Stojanowski. O reslawizacji wschodnich Niemiec. Wrocław, 1946; str. 29 i 3 nl.

Prace Instytutu Zachodniego. Nr. 7 i 8. Marian Friedberg. Kultura polska a niemiecka. Elementy rodzime a wpływy niemieckie w ustroju i kulturze Polski średniowiecznej. Poznań, Instytut Zachodni, 1946; tom I: str. 363 i 1 nl, tom II: str. 309 i 3 nl.

Biblioteczka Ziemi Lubuskiej. Nr. 2. Bogumił Krygowski, Stanisław Zajchowski. Ziemia Lubuska. Opis geograficzny i gospodarczy. Poznań, Instytut Zachodni, 1946; str. 287 i 1 nl i IV tablice dodatkowe i 1 mapa w skali 1:300.000.

Biblioteka Popularno-Naukowa. Nr. 5. Ludwik Czesław Kurek Kojrański. Od słońca do dynamomasy. Łódź, „Książka”, 1946; str. 96 i 4 nl. — 65 zł.

Państwowa Rada Ochrony Przyrody. Nr. 58. Jan Nowakowski. Przymierze z ziemią. Ochrona przyrody a wychowanie. Kraków, 1946; str. 23 i 1 nl i 1 ilustracja.

A. Lewandowski. Chemiczna analiza jakościowa. Poznań, Wł. Wilak, 1946; str. 140 i 4 nl i 1 tablica.

PRAWO, NAUKI SPOŁECZNO-GOSPODARCZE

Biblioteka Tygodnika Gospodarczego. Nr. 1. Edward Taylor. O istocie spółdzielczości. Wydanie II. Poznań, Wł. Wilak, 1946; str. 40. — Nr. 2. Międzynarodowa Izba Handlowa. Incoterms 1936. Międzynarodowe prawidła wykładni formuł handlowych. Z oryginału francuskiego przełożył Stanisław Waschko. Poznań, Wł. Wilak, 1946; str. 32.

Antoni Peretiatkowicz. Państwo współczesne. Wiadomości ogólne. Ustrój polityczny. Anglii — Stanów Zjednoczonych — Związku Radzieckiego — Polski. Wydanie ósme przejrane i uzupełnione. Poznań, Wł. Wilak, 1946; str. 135 i 1 nl.

Szkola krytyków

CZYTAJCIE DZIENNIKI

Na ulicach naszych miast wznoszą się piękne wieklinowe stojaki (wyrób krajowy), a na pięknych wieklinowych stojakach wachlarzem szerszym i barwniejszym od pawiego ogona rozpinają się dzienniki — też wyrób krajowy. Ilekroć przechodzę obok takiego stojaka, doznaję melancholijnej tęsknoty: przeczytać do wszystkiego. Co dzień przeczytać. Przeczytać przynajmniej wszystkie powieści drukowane w odcinkach.

Niekiedy litościwy czytelnik, nadsyłając wycinek takiej powieści, pogłębił melancholijne pragnienie. Oto „Ekspres Łódzki” drukuje dzieło ob. Andrzeja Zańskiego (a to kto? Związkiem literackim nieznany). W numerze z dnia 12. XI. br. bohaterka powieści Monika przegląda się w lustrze: „Miała jasne włosy i szafirowe oczy: tak przezryste jak najładniejsze panie mieszkające nad północnymi fiordami w ojczyźnie Knuta Hamsuna. Usta miała drobne, śliczny owal szyi.

Nie jestem wcale brzydka — z uznaniem skinęła głową przed swoim odbiciem, uśmiechając się w lustrze.

Potem lekko poprawiła bluzkę. — Krawcowa powiedziała mi one-gdaj, że mam ładnie osadzone piersi. Ciekawam, czy i on zauważył również, że jestem już kobietą...

Ale doktor Bogusław nie zauważył jakoś tego szczegółu“.

Wprawdzie, będąc lekarzem, doktor Bogusław ma prawo zaglądać pacjentom i pacjentkom w różne szczegóły, mimo to absolutnie nie mogę uchwycić, o jaki to szczegół chodzi w tej sytuacji. Wprawdzie na szyi nosi się medaliony w owalnym kształcie, owal szyi wskazuje jednak wyraźnie na wół. Czyżby o to chodziło obywatelowi Zańskiemu?

Żart na bok. Chodzi o sprawę całkiem zasadniczą. Mamy Ministerstwo Propagandy i Informacji. Departamenty, wydziały, sektor wojewódzki, sektor powiatowy. Jedno sito. Mamy Ministerstwo Kultury i Sztuki. Departamenty, wydziały, tudzież sektory. Drugie sito. Posiadamy Urzędy Kontroli Prasy i Wiadomości. Trzecie sito. Przydział papieru jest podobno kontrolowany i reglamentowany. Mamy na pozór wszystko, ażeby zapobiec zalewowi rynku wydawniczego przez tandetę, tymczasem z każdym tygodniem widzimy, że strumień tandety omija wszystkie sita. A co dopiero będzie, kiedy się zaczną pojawiać przekłady?

Komisja Kultury i Sztuki KRN uchwaliała odpowiednie rezolucje — czy tylko dla swoich przyszłych historyków? Która z władz, jaki urząd informacyjno-kulturalno-kontrolny odpowiada za takie wydawnictwa tygodniowe, jak „Świat Przygód”? Chętnie usłyszymy od odpowiedniego referenta, że to on właśnie. Chętnie również zamieścimy fotografię wydawcy, który tak się trudzi nad należytym rozwojem społecznych instynktów młodzieży.

Mamy Związek Zawodowy Literatów, a przy tym Związku komisję kwalifikacyjną, która odrzuca grafomanów. Mimo to grafoman może wydać każdą bzdurę, jaką napisze. Kelnar, który nie jest zarejestrowany w odpowiednim związku, nie może podawać do stołu — i to jest słuszne. Węglarz nie znieśie węgla do piwnicy, jeżeli nie jest w związku. Grafoman nie uznawany przez pisarzy może swoją tandetą zaśmiecać móżgi, może psuć smak. Czy naprawdę nie ma na to sposobu? Więc po co tyle urzędów troskających się o sprawy kultury, jeżeli nie są zdolne o to się zatroszczyć?

Jeżeli rzucić okiem nadziałalność większości firm wydawniczych, dochodzi się do wniosku, że wojna była chyba złudzeniem, zniszczenie podstawowego zasobu książki polskiej — złudzeniem, plany wydawnicze — złudzeniem. Dlaczego trzyletni plan odbudowy dotyczy wszystkiego, z wyjątkiem literatury? Czy wykonanie ustawy bibliotecznej dokona się z powietrzem? Czy nie trzeba na to przypadek kapitałów nie mniejszych niż na odbudowę szkół? Czy — pytań jest tysiąc. Wszystkie są gorzkie.

Na razie, drodzy czytelnicy, czytajcie dzienniki. Przysyłajcie wycinki „literackie”. Będę ich widokiem, by raz jeszcze zacytować ob. A. Zańskiego, „taki przejęty, nieledwie wzruszony”.

NOTATNIK POŁOWY POETY

Stanisław Jerzy Lec. Notatnik połowy. Poezje. (Łódź), „Książka”, 1946; str. 45 i 3 nl.

Poezja jest (wybierając z wielu możliwych ujęć jedno z istotnych) odkrywaniem dziwności w rzeczywistości. Cóż to jest owa dziwność? Nie oznacza ona bynajmniej stwarzania jakiejś nowej, nieistniejącej i dziwnie nieprawdopodobnej rzeczywistości — ale oznacza odkrywanie w istniejącej rzeczywistości pewnych związków, których oko przywykłe do schematycznego ujmowania zjawisk — spostrzec nie umie. Dlatego błądą ci, którzy w imię tzw. realizmu domagają się, aby poezja podawała doniosłość historycznej i społecznej rzeczywistości za pomocą już raz określonych i łatwo sprawdzalnych związków. Błędą nie wtedy, gdy żądają jasności, trzeźwości, humanizmu, z którego wyrasta także świat poezji, gdyż tego musi żądać każdy, kto uczeiwy. Ale błędą wtedy, gdy domagają się takiego rodzaju układu materii poetyckiej, który rezygnowałby z ujawnienia owej dziwności.

Poezja Stanisława Jerzego Leca jest przykładem poszukiwania dziwności wśród realnych układów. Ostatni jego tomik to — poza kilkoma końcowymi wierszami pochodzącymi jeszcze z 1938 wzgl. 1937 roku — zbiór poezji o tematyce okupacyjnej i partyzanckiej. Przedmiot tych poezji jest ściśle umiejscowiony w przestrzeni i czasie, ich bojowość posiada kontury czyste i męskie, wiadomo z kim i o co się walczy. Ale dopiero odrębny i własny sposób wiązania elementów tej rzeczywistości kanonizuje ją niejako i kreuje jako rzeczywistość poetycką.

Jednym ze sposobów dokonywania tego jest u Leca zgęszczenie i szybkość przesuwanych na ekranie wyobrażeń przedstawień. Zgęszczenie to jest zewnętrzne i wewnętrzne. Zewnętrzne w tym sensie, że szeregi rozmaitych, coraz to bardziej poszerzających opisywaną sprawę obrazów następują szalenie jedno po drugim, bez przerw i miejsce lirycznie pustych. Wewnętrzne o tyle, iż wewnątrz każdego takiego obrazu panuje ścisła kondensacja, powodująca — przy często stosowanej elipsie — najdalej idącą oszczędnością wyrazu. Oto początek wiersza „Pod lotniskiem wroga“:

Już owoc się wiąże u wiśni i rzadkie zakwita tu żyto — W nocie rozdatte przez psy wieś wsi gwiazdek podaje sito. — — — — — Nad ranem do cień na skrzydłach — — — — — z konwali słowiki. Oddychasz. Las. Wtem ziemia staje. I serce. Wracają. Eskadry zgaszonych gwiazd.

BITWA O ANGLIE

Kazimierz Paszkowski. RAF contra Luftwaffe. Bitwa o Anglię. Łódź, „Książka Polska”, 1946; str. 191 i 5 nl.

Niedawno minęła szósta rocznica „Bitwy o Anglię” — bitwy, która w dużej mierze zawżyła na losach ostatniej wojny. „Bitwa o Anglię” (Battle of England) zakończyła się klęską liczonej i nowoczesnie uzbrojonej Luftwaffe.

Po zdobyciu Norwegii i Francji Niemcy zaczęli przygotowywać się do inwazji na Wyspę Brytyjską. W portach francuskich czekały barki desantowe, wypelnione sprzętem wojennym. Dnia 8 sierpnia 1940 atak rozpoczęła Luftwaffe, mająca za zadanie zniszczyć słabsze od siebie lotnictwo brytyjskie i przygotować grunt do lądowania skoncentrowanym wojskom. Nieprzerwane fale niemieckich bombowców, chronionych przez myśliwce, przeleciały kanał La Manche i pojawiły się nad „Wyspą ostatniej nadziei”. Sytuacja była ciężka i poważna. Około 6000 samolotów niemieckich wzięło udział w tej bitwie.

Akceji tej przeciwstawił Anglię świateł opracowaną — nawet w najdrobniejszych szczegółach — taktykę obronną. Przez skupienie w jednym ośrodku dowództwa nad całocielą lotnictwa myśliwskiego Anglicy mogli w każdej chwili rzucić naprzeciw nadlatującym masom nieprzyjacielskich samolotów dostateczną ilość swoich myśliwców.

Wielkie usługi w tej decydującej rozgrywce oddał Anglikom radar. Dzięki niemu można było wykrywać nadlatującego nieprzyjaciela już na wiele dziesiątków mil przed brytyjskim brzegiem. Dzięki przemyślanej obronie wszystkie ataki niemieckie załamały się. Z trudem udało się im kilkanaście razy przedrzeć przez linie obrony i zbombardować — oprócz miast południowej Anglii — uroaginiony Londyn. Bitwa się stopniowo przesiała, Niemcy doznają coraz cięższych porażek. Po dwu miesiącach ciężkiej i mało owocnej walki wycofali się z niej powoli i nieznacznie. Nie chcieli się przynajmniej do klęski.

Jedynym sprzymierzeńcem Anglików w tej walce były dwa polskie dywizyjony myśliwskie. One to swymi chlubitnymi zwycięstwami przełamały nieufność i chłodną rezerwę Brytyjczyków. Są to fakty znane nam chociażby z książek Fiedlera i Meissnera. Jednak tam były wtopione w literacką osłonę tych książek, ujęte z punktu widzenia polskiego do tej walki wkładu — i co do ich wiarygodności można było mieć pewne zastrzeżenia.

Książka K. Paszkowskiego jest pierwszą pracą nieliteracką, o pewnych aspiracjach naukowo-dokumentaryjnych, która ma zapoznać czytelnika polskiego z największą tego rodzaju batalią.

Praca Paszkowskiego napisana przystępnie, poparta jest raportami lotników

Nie ma tu marginesów uczuciowych, dookólnych, ubocznych rozwinięć, zostaje tylko rdzeń, ekstrakt materii poetyckiej, który trafia celnie w sam ośrodek wzruszenia. To odcienie światła z jakiegokolwiek dekoracyjnego opowicia czyni go nieco nagim i surowym, twardym i męskim. Dziwność tej rzeczywistości poetyckiej leży więc w oczyszczeniu jej z produktów ubocznych, dodatkowych wzruszeń, których w życiu jednostki i społeczeństwa osadza się nieraz zbyt wiele dokoła samego miąższu zdarzeń — leży w konstruowaniu tej rzeczywistości jedynie z podstawowego surowca: Oddech. Las. Ziemia. Serce.

Prawda, nie brak u Leca tęsknoty ani umiejętności mitologizowania surowych faktów, otaczania ich tęczowym obłokiem, wywoływania zjawisk z pogranicza snu o wyraźnym, ostrym, ekspresjonistycznym rysunku. Szczególnie dobitnie zaznacza się to w wierszach przedwojennych. Oto podróż łódka na rzece pod mostami jakiegos dalekiego, ledwie pamiętanego miasteczka młodości:

Już ład pamięci mgła podmywa, odkotwiczając czarne łódki. Dyszą rumianki policjanci. Na śmierć upiś wodą ludzię, płyną bez włosów w jasny dzień po niemych ze zdziwienia rybach. Płyną tą rzeką pod mostami, gdzie z brzegów miauczą sodaliele w białych koszulkach. Różącami do nich przykuty czarny kahał. Na jednym z mostów burmistrz ślicznie zainkantował kurzą pieśń na nutę papy Offenbacha.

Lecz surowa, okupacyjna i partyzancka doła zwycięża w pocie tę nadmierną skłonność do realistycznej i romantycznej dekoracji, wywodzącej się jakby z nowel Poeego i E. T. A. Hoffmana. Tragizm rzeczywistości nakazuje wstrzemięźliwość w rozwiązywaniu artystycznej wizji. Jeszcze w „Postoju w Babiance” na moment odnajduje poeta liryczne rekwizyty: grotgerowski salonik, „fortepiano” i „rdzawą romancę”, ale zdaje sobie z tego sprawę, że jest to tylko chwilka „w antrakcie krwawej powieści”.

Dziwność osłaga teraz Lec za pomocą skrótów. Śmierć nigdy nie jest opisana wprost. Jeden podstawiony, uboczny szczegół skracą jej obraz i wymiar. „W boru towarzyszył został — z czernicą nad czołem rozprysną” („Piosenka”) albo „Obok zamilkł automat — to była śmierć żołnierza” („Pod Amelinem”) w ten sposób zamiast opisywać i przedstawiać śmierć — Lec definiuje ją niejako. Owa chętnie stosowana „pars pro toto” („Czy ten helm co się podniósł — teraz znad kartoflika — słyszy tę pieśń źródelka —

i komunikatami ministerstwa lotnictwa i swoje zadanie informacyjne spełnia całkowicie.

Mimo to, nawet „niefachowy” czytelnik dostrzeże w niej sporo nieścisłości. Wystarczy tu przytoczyć chociażby twierdzenie autora, że radar wynaleźli Angliacy, chociaż skądinąd wiadomo, iż Angliacy tylko udoskonalili ten niemiecki wynalazek.

Liczne ilustracje są niewyrażne i, co gorsza, niektóre zdjęcia powtarzają się dwa razy. Inna znów fotografia przedstawia ciężki samolot ciągnący dwa szybowce, a podpis pod nią objaśnia: „w pogoni za nieprzyjacielem”. Od pracy polidokumentarnej wymaga się większej ścisłości.

Dużo uwagi poświęcił autor udziałowi lotnictwa polskiego w ostatniej wojnie, który istotnie był duży, bo na przykład w „Bitwie o Anglię” 10% zniszczonych samolotów niemieckich to zestrzały Polaków. Trochę pochopnie jednak wydaje się zdanie autora, że Churchill w Izbie Gmin — przed końcem bitwy — przepowiedział jej zwycięski koniec tylko dlatego, że Polacy walczyli po stronie Anglików.

Mimo te nieścisłości i pewną predykcję autora do powtarzania rzeczy już powiedzianych, książka ta jest przyjemną (szczególnie dla polskiego czytelnika) i pożyteczną lekturą.

NA SZLAKACH LONDONA

Jan Papuga. Szczury morskie. Sea Ratz. (Łódź), „Książka”, 1946; str. 183 i 1 nl.

Opowiadania-reportaże Papugi są drugą, po Fiedlerze, próbą odtworzenia życia i walk polskiej marynarki w służbie aliantów.

Papuga jednak opisał raczej dzieje poszczególnych samotnych marynarzy polskich, rozproszonych wśród mnóstwa żagłów obcych statków, wchodzących w skład potężnej floty sojuszniczej.

Stąd bohaterzy opowiadań Papugi to obywatele międzynarodowego świata marynarskiego. Z Polska — ojczyzna — związani są dalekimi wspomnieniami, powracającymi w rzadkich chwilach wzruszeń. Marzą o Polsce, ale prawie nigdy nie mówią, czy kiedyś po wojnie wrócą do niej. Tylko jeden z nich przyrzeka raz, że będzie jej spokojny bronił na morzu, przy dziale okrętowym.

Ale przy jakim dziale i na czym morzu? Może angielskim?

Jeszcze jedna charakterystyczna cecha odróżniająca te książki od opowiadań Fiedlera. Marynarze nasi — „szczury morskie”, jak ich nazywa autor — są w małym stopniu żołnierzami — biorą udział w wojnie w przypadku, wojna to

w swojej ojczystej mowie?” stanowi jeden ze sposobów kondensacji — wyrazu poetyckiego.

Inny sposób to trochę szydercze, trochę lekkie unikanie abstrakcyjnej refleksyjności filozofowania, które — satyrykowi i ironiście z urodzenia — musi się wydawać nazbyt żałowem, pełnem martwego, akademickiego patosu. Stąd zaś się jego metafor i obrazów obracających się w kręgach motywów zmysłowych i materialnych, szczególnie dobranych. Życie i śmierć ukazują się pocie w konkretnym, dotykającym zarzysie. „Zycie i śmierć na szalkach obu, — w których sklepikarz chleb mój waży” („Anno 1943”). Serce to „soczysta wiśnia”, którą „radość rozsądzi, co dziś jak pestka w nim drzemie” („Jutro”). Na każdej stronie natrafiamy na metafory i porównania o wyraźnie określonym smaku i gatunku, o charakterze po prostu — gastronomiczno-kolonialnym. „Mózg w czasie skurczony jak orzech”. „Pomaraszona jak orzech” jest także droga, przy której stał dom matki partyzanckiej („U matuli na Bójkach”). Ilustracje przeglądane na „Postoju w Babiance” są „pożółkłe jak ser”, „Idąc mostami” widzi poeta „stare łódki, szczeniaki, wydrążone ryby” i „na niebie księżyc, pełne jajo”. Sosna w lesie ukazana jest „jak kwoka czarna” („Leśni nocują”) itd. Jesteśmy w dziwnym świecie, gdzie uczucia i idee zyskują konkretny kształt, a kształt ów jest tak dotykalny, tak uchwytany, że przedmiot, choć istniejący jedynie w ścisłym związku z całością zjawisk — zyskuje nagle jakąś niesamowitą, autonomię, staje się jakby — o dziwo — znówu abstrakcją („Nogi — dwa trupy, para topielce — w całunach onuc”).

Starałem się tu tylko naszkicować próbę pewnego zasadniczego ujęcia świata poetyckiego Stanisława Jerzego Leca, który zresztą w omawianym zbiorze nie jest przedstawiony i rozwinięty z całą konsekwencją i w pełni swojego kształtu. Sam bowiem tytuł zbioru świadczy o tym, że są to tylko notatki, luźnie rzucone szkice, skreślone na gorąco, wśród terkotu automatów, w huku bomb i w ogniu pożarów, gdzie jedna celna kula posłana w pierś znienawidzonego wroga musiała znaczyć więcej niż dziesiątki najcenniejszych metafor. Jeżeli jednak i w takim notatniku (prócz niewątpliwego, szlachetnie ideowego napięcia i świadomej walki o najcenniejsze dla człowieka wartości) — stwierdzić można dużą biegłość techniczną, wysoki kunszt i swobodę wersyfikacji, a także uparte poszukiwanie prawdziwej i czystej dziwności — jasne jest, że zawarta jest w nim również prawdziwa i czysta poezja.

Henryk Vogler

Jeszcze jeden dokument

Leon Cukierberg. Cień Torquemady. Kraków, „Księgarnia Powszechna”, 1946; str. 83 i 1 nl.

Zbiór opowiadań debiutującego młodego autora, Leona Cukierberga, wnoszą jeszcze kilka przyczynków do martyrologii żydowskiej. Terenem, na którym rozgrywa się opowiadane wydarzenia, jest Lwów i jego najbliższe okolice, gdzie „przedstawiciele zachodniej kultury” po wkroczeniu w 1941 roku rozpoczęli swą „misję cywilizacyjną” w rozmiarach nie stosowanych dotąd gdzie indziej, nawet przez nich samych. Tomik zawiera kilka takich wstrząsających, zaobserwowanych scen, z widocznym autentyzmem przeżyta. Poważne braki artystyczne istnieją niewątpliwie. Materiał treściowy jest jeszcze całkowicie surowy. Trudno mówić o jakimkolwiek wysiłku w kierunku kompozycji i konstrukcji tak w całości tomu, jak i wewnątrz poszczególnych jego opowiadań, zbyt ponosi autora namienność rozpacz i pasja oskarżycielska, aby mógł zdobyć się na chłodny rozsądek umiaru, konieczny do osiągnięcia wewnętrznej prawdy i siły artystycznej. Stąd płynnie nieopanowanie języka i egzaltacja, lubująca się w melodramatycznej scenerii, stąd dążenie do wywoływania nastroju za pomocą pseudodramatycznych rekwizytów (kruki krążące ze złowieszczym krakaniem nad ścianami itp.).

Jednak, mimo wszystkie niedociągnięcia, nie brak prozie Cukierberga zadatków na przyszłość. Jest w niej chwałebne dążenie do skrótów perspektywicznych, jest już zrozumienie powagi narzuconych przez opisywany przedmiot zadań literackich, nie wykonanych jeszcze na skutek niedojrzałości. Można by (i trzeba) przedstawić się więcej; od opowiadań atmosfery beznadziejności i trującej beznadziejności. Żydowskie bohaterowie Cukierberga, to stworzenia (trudno ich inaczej nazwać) szorstkie, schwytały w potrzask. Lecz i to — mamy wrażenie — płynnie częściowo z braku dojrzałości widzenia, zrozumiałego u debiutanta, dającego się zbyt łatwo uwieść złudnym efektem młodzieńczego pesymizmu.

Książka Cukierberga nie jest jeszcze dziełem literackim. Tym niemniej posiada ona do pewnego stopnia charakter dokumentu z czasów, których — wbrew dającym się słyszeć głosom — zapomnieć nie wolno tak długo, jak długo w naszej teraźniejszości snuje się jeszcze ich ponury cień, który w każdej chwili może znówu urosnąć w rzeczywistość.

Henryk Vogler

Nowe podręczniki historii dla szkoły powszechnej

W. Hoszowska, T. Szczuchura, W. Tro. paczyńska-Ogarkowa. Było to dawno. Opowiadania z dziejów ojczyźnych dla kl. V szkoły powszechnej. Warszawa, „Nasza Księgarnia”, 1946; str. 263 i 1 nl. — Ci sami. O wolności narodu i człowieka. Opowiadania z dziejów ojczyźnych dla kl. VI szkoły powszechnej. Tamże; str. 192.

Nauczanie historii w szkole powszechnej nie jest łatwe. Przede wszystkim sam wybór materiału jest trudny. Psychologowie wysuwają postulat, że nauczanie w pierwszych latach winno być epizodyczne, obrazowe, — zaś systematyczny kurs można dać dzieciom starszym, a i w stosunku do tych dzieci trzeba postępować bardzo ostrożnie, by za miast obrazów życia przeszłości nie dać im wyłącznie słów. Nowy program historii, realizowany już w roku ubiegłym a poprawiony w bieżącym wprawdza historię jako osobny przedmiot nauczania w klasie trzeciej w postaci prehistorii, a w klasie czwartej wprowadza jej kurs systematyczny. Tak skonstruowany program w bardzo tylko małej mierze uwzględnił postulaty nauk psychologicznych.

Autorowie wymienionych przeze mnie podręczników stanęli przed zagadnieniem bardzo trudnym do rozwiązania: z jednej strony program, który w tego rodzaju wydawnictwie musi być respektowany punkt po punkcie, z drugiej strony wymagania psychologii i dydaktyki. Wybrnęli z tej trudności nie tyle, powielając, do każdego prawie rozdziału dają krótkie streszczenie, nazwane „do zapamiętania”. Czy to właśnie nazwa jest szczęśliwą, rzecz do dyskusji — bo zapamiętać winny dzieci nie owo suche streszczenie, lecz przede wszystkim obrazy z życia przeszłego, — to jednak trzeba powiedzieć o podręcznikach, że charakteru jest nie dodatki, lecz właśnie doborze skonstruowane opowiadania. W naszej literaturze podręcznikowej są to najlepsze książki do nauczania historii w szkole powszechnej. Oczywiście myśleć tu jedynie o stronie metodycznej.

Podręczniki są bogato ilustrowane, — do każdego prawie opowiadania jest rysina. Rzecz tylko ciekawa, że przeważają podobizny postaci: na 44 rysiny w podręczniku dla klasy VI są aż 24 podobizny. Wydaje się, że to nie dość przemyślane. Wystarczy wskazać na taki przykład: opowiadanie o królu Stanisławie Auguste, opiekunie kultury polskiej, zilustrowano podobiznami króla, Ignacego Krasińskiego i Adama Naruszewicza. A przecież ważniejsze byłyby np. Łazienki, bo o nich w opowiadaniu mowa — ważniejszy byłby Zamek, może również dobrze wykonana scena z obładu czwartkowego. W kilku innych rozdziałach są takie właśnie sceny historyczne, np. przysięga Kościuszką, „Rakieta” Steversona. Oczywiście trzeba wziąć pod uwagę trudności w zdobyciu dobrego materiału ilustracyjnego, zwłaszcza że podręczniki przygotowywane były w temple bardzo szybkim. Do takiej pracy zmuszały potrzeby szkoły, w zakresie historii większe może niż w innych przedmiotach, gdyż trzeba było nie tylko dać ujęcie nowe, ale przede wszystkim zmienić postawę ideologiczną. Pod tym względem autorzy wywiązali się z zadania poprawnie.

To cechy zasadnicze podręczników. Niewątpliwie z czasem trzeba będzie to i owo zmienić, udoskonalić dział ilustracyjny, rozpatrzyć jeszcze raz problem owych streszczeń, w tej jednak chwili szkoła polska otrzymuje dobre podręczniki, które ułatwią nauczycielowi trudną pracę w zakresie zaznajamiania dzieci z przeszłością.

Stanisław Nowaczyk

Tadeusz Konwicki

Opozycjoniści z Partii Pracy

Około 60 posłów do Izby Gmin z Partii Pracy zgłosiło w czasie dyskusji nad mową tronową zastrzeżenia przeciw polityce zagranicznej rządu Partii Pracy, personalnie więc przeciw ministrowi Bevinowi. Około 120 kolegów klubowych podpisało ich stanowisko, około 120 uchyliło się od wypowiedzi, co oznacza, że nie solidaryzują się z ministrem spraw zagranicznych Wielkiej Brytanii.

To był akt pierwszy. Intermezzo — to atak na sześćdziesięciu krytycznie usposobionych posłów, jako na „komunistów“ (czyż nie jest jednak rzeczą naturalną, że 10 procent Izby Gmin to komuniści, gdy dotychczas stanowili oni jedną trzecią procentu). Akt drugi — to decyzja przeciwników Bevina, by nie poddawać pod głosowanie owych zastrzeżeń (w formie poprawki do odpowiedzi Izby na mowę tronową). Mimo to, na żądanie Izby głosowanie się odbywa. I oto przeciw poprawce, krytykującej Bevina, głosuje 360 członków Izby Gmin.

Zanalizujmy liczbę 360 głosów za Bevinem. Izba Gmin liczy ponad 600 członków. Konserwatyści, którzy oświadczyli, że będą głosowali przeciw poprawce, mają 195 mandatów. Partia pracy ma ich 390. Jeśli odliczymy 60 opozycjonistów, pozostaje by powinno 525 głosów za Bevinem, przeciw poprawce — tymczasem było ich tylko 360. Co to znaczy? Mimo że sprawę tę umieszczono na porządku dziennym obrad, ławy poselskie świeciły raczej pustkami — czyli, że dla wielkiej ilości posłów los ministra Bevina jest obojętny. Znaczna część, około stu posłów z Partii Pracy, wstrzymała się od głosowania za Bevinem. Tłumaczy się to tym, że — mając na uwadze angielskie zwyczaje parlamentarne — nie chcieli oni w tej chwili dopuścić do kryzysu gabinetu i nowych wyborów, ale nie chcieli także solidaryzować się z polityką zagraniczną własnego rządu.

Obalenie Bevina — to, zgodnie z angielskim zwyczajem solidarności całego rządu, obalenie rządu. A obalenie rządu przez jego własne stronnictwo jest w Anglii równoznaczne z nowymi wyborami. Nowe zaś wybory w Anglii w okresie gdy rząd, ponosząc skutki zniszczeń wojennych i będąc w pierwszym stadium częściowej realizacji socjalizmu, nie może być popularny, mogłyby przynieść zwycięstwo konserwatystom. Przeciwnicy Bevina nie mogli w takiej sytuacji życzyć sobie jego obalenia, bo w ten sposób oddaliby tylko przysługę Churchillowi. Dlatego swym zastrzeżeniem nie mogli nadać formy uchwały Izby. Wycofując poprawkę zaznaczoną tylko, że nie chcą kryzysu rządowego i nowych wyborów. Ci wszyscy zaś, którzy nie głosowali przeciw poprawce, nie chcą wprawdzie obalać ministra spraw zagranicznych, ale nie mają też zamiaru z nim się solidaryzować. Ostrzegają tylko rząd, nie pragnąc kryzysu rządowego. Skoro zaś rząd, mający za sobą cztery szóste członków parlamentu, zyskuje w takim głosowaniu, i to przy poparciu konserwatystów, tylko połowę głosów wszystkich członków — ostrzeżenie jest jasne i wyraźne. Polityka nastawiona krytycznie wobec socjalistów kontynentu europejskiego, jaka musi doprowadzić do powstania dwóch bloków, została przez większość stronnictwa rządzącego w Anglii potępiona.

Zestawienie tego faktu z oświadczeniem Thoreza, iż francuska partia komunistyczna gotowa jest do daleko idącej współpracy z Wielką Brytanią i nie zamierza realizować u siebie socjalizmu według metod radzieckich — daje nam obraz nowej sytuacji. Polityka wielkobrytyjska uniezależniłaby się od Stanów Zjednoczonych, ponownie zaś wciągnięcie Wielkiej Brytanii do wspólnoty ogólnoeuropejskiej stałoby się możliwe. Być może, jest to skutek zwycięstwa republikanów, a klęski kontynuatorów polityki Roosevelta w Stanach Zjednoczonych. Być może, jest to skutek zręcznej, w miarę ustepliwej, w miarę stanowczej po-

lityki radzieckiej na obecnej sesji ministrów spraw zagranicznych i Organizacji Narodów Zjednoczonych. Być może — i najprawdopodobniej — jest to wyczucie nastrojów wyborców socjalistycznych w Anglii. W każdym razie — brytyjski konflikt wewnętrzny oddał przysługę sprawie pokoju.

To strona „taktu” tego konfliktu. Ale są jeszcze głębsze względy — ideologiczne. Trudno w Bevinie, starym działacz robotniczym, widzieć tylko narzędzie imperializmu anglosaskiego. Trudno w Bevinie, starym graczem politycznym, widzieć tylko nieświadome narzędzie w ręku doświadczonych dyplomatów z Foreign Office. Przyczyna konfliktu w łonie angielskiej Partii Pracy tkwi głębiej. Bevin — to reprezentant dawnej mentalności zachodnio-demokratycznej, dla której demokracja jest przede wszystkim metodą rządzenia, dla której istotne jest to, przy pomocy jakich metod realizuje się swe cele, a nie, jakie cele się realizuje. I dlatego jego

oburzenie na współczesne metody kontynentalnego socjalizmu jest z pewnością szczere i głębokie — to nie są metody angielskie, ale nie są to też metody dziewiętnastowiecznej demokracji.

Jego przeciwnicy — to, sądzić by można, ci politycy socjalistycznej Anglii, dla których istotne są przemiany dokonywane się na kontynencie Europy, a nie metody ich realizacji. Są bardziej sceptyczni — i wiedzą, że każde społeczeństwo wymaga innych metod rządzenia. Są raczej socjalistami niż liberałami — i dlatego wołają socjalizm, choćby przejściowo ograniczający wolności polityczne, niż kapitalizm, formalnie te wolności utrzymujący. W końcu zaś, bardziej niż ich przeciwnicy, pamiętają o tym, że wszelkie zasadnicze zmiany w ustroju społecznym czy gospodarczym w państwach, w których znaczna mniejszość jest przeciw tym zmianom (a większość przeprowadzająca zmiany nie jest jednolita) — nie mogą się dokonywać w atmosferze pełnej wolności politycz-

nej, bo wtedy będą z góry skazane na niepowodzenie.

Od wielu miesięcy bronimy poglądu, że nie będzie wojny, nie będzie „sowietywizacji“ Europy, że poszczególne typy demokracji będą się coraz bardziej do siebie zbliżały i coraz lepiej rozumiały. Ostatnie tygodnie zdają się potwierdzać słuszność tego poglądu. Przykład czechosłowacki, w niedalekim czasie zapewne przykład francuski wykażą, iż komunista może być szefem rządu, a mimo to ustrój nie musi być komunistyczny. Angielska dyskusja w sprawie zmiany polityki Bevina wykazuje, iż w świecie anglosaskim zaczyna się rozumieć odrębność warunków faktycznych na kontynencie Europy i że są w Anglii politycy, którzy rządzących w Europie nie czynią odpowiedzialnymi za tę odrębność. Nowojorskie obrady „Wielkiej Czwórki“ wykazują, iż przecież między Wschodem a Zachodem istnieje możliwość porozumienia. Europa powojenna zaczyna się powoli krystalizować.

Konstanty Grzybowski

Karaimi i ich czasopismo

„Myśl Karaimska“. Rocznik naukowo-społeczny. Seria nowa. Tom I. (1945—1946). Rok XXIII. Wrocław, 1946; str. 144 (w tym 6 str. tablic).

Przeszło pięć wieków temu osiedlili się na ziemiach polskich potomkowie plemion tureckich, zamieszkujących niegdyś stepy między morzem Czarnym a Kaspijskim, Karaimi. Mimo że długie lata spędzili w słowiańskim środowisku, Karaimi zachowali odrębną religię, resztki pierwotnego folkloru, a przede wszystkim język macierzysty, należący do grupy kipczacko-kumańskiej rozległej rodziny tureckiej. Język ten wzbudza od dawna żywe zainteresowanie wśród turkologów, zarówno zagranicznych jak i polskich, którym przewodzi znakomity orientalista, profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie, dr Tadeusz Kowalski, autor podstawowego dzieła dla badań języka karaimskiego pt. „Teksty karaimskie w narzeczu trockim“, wydane przez Komisję Orientalistyczną Polskiej Akademii Umiejętności w r. 1929 w Krakowie.

Wskutek wypadków dziejowych przesunęli się Karaimi bardziej na zachód, tworząc w chwili obecnej następujące skupienia: 1) główne i centralne osiedle — m. st. Warszawa i woj. warszawskie, 2) na Pomorzu, w Gdańsku i okolicy, 3) na Śląsku, w Opolu i Wrocławiu. Nad sprawami wyznaniowymi czuwa Komitet Organizacyjny, w skład którego wchodzi prof. uniwersytetu warszawskiego dr A. Zajaczkowski, radca Ministerstwa Skarbu Z. Szpakowski i radca Ministerstwa Komunikacji A. Rojewski. Komitet ten sprawuje chwilowo władzę Karaimskiego Związku Religijnego w Rzeczypospolitej Polskiej.

Karaimowie mieli ambicje kulturalne, czego dowodem było między innymi wydawanie własnego czasopisma. Toteż po siedmioletniej przerwie wznowiono publikację naukowo-społecznej „Myśli Karaimskiej“, poświęconej karaimoznawczym badaniom naukowym, jak również zagadnieniom społeczno-wyznaniowym. Najnowszy numer tego rocznika, jako tom I nowej serii (1945—1946), ukazał się w jesieni bieżącego roku we Wrocławiu i zawiera wiele cennego materiału naukowego, pióra wybitnych uczonych polskich.

Redaktor i wydawca z ramienia Karaimskiego Związku Religijnego, prof. uniwersytetu warszawskiego dr Ananiasz Zajaczkowski, w artykule pt. „O kulturze chazar-skiej i jej spadkobierców“ kreśli pokrótce dzieje Chazarów, od VI w. do X w. dzierżące władzę nad stepowymi nadczarnomorskimi i podgórnymi podkawkaskimi obszarami. Państwo to, dzięki swemu położeniu i sile, odegrało wybitną rolę naprzód w walce między Bizancjum a Persją Sasanidów, a po klęsce Persji z nową potęgą na Wschodzie, z Kalifatem Arabskim. Miasta chazarskie, a przede wszyst-

kim stolica państwa Itil, stanowiły centra handlowe dla wymiany artykułów z północy, południa i wschodu. W świetle bizantyńskich i muzułmańskich źródeł Chazarowie występują jedynie w roli pośredników a nie wytwórców.

Autor, omawiając z kolei szeroko stosowaną u Chazarów tolerancję religijną, dochodzi do wniosku, że przyjęcie mozaizmu przez Chazarów nastąpiło w końcu VIII w. za pośrednictwem misjonarzy karaimskich, co jednak nie przeszkadzało swobodnemu rozwojowi chrześcijaństwa czy islamu. Tytuły godności chazarskich i źródła bizantyńskie wykazują, że językiem państwowym był język „chazarski“ czyli turecki.

W poszukiwaniach środowiska kulturalnego, jako pozostałości po kulturze chazarskiej, wskazuje autor na Karaimów, w których zasobie leksykalnym nazw dni i miesięcy zachowały się ślady dawniejszych tradycji prototurkiczkich oraz chrześcijańskich, muzułmańskich i mozaistycznych, tak charakterystycznych dla środowiska Chazarów. Dla określenia pojęć religijnych Karaimi posługują się terminologią arabsko-muzułmańską i, podobnie jak Chazarowie, używają w liturgii języka narodowego — tureckiego. Pod wpływem zaś wyznawanej religii posługują się alfabetem hebrajskim.

Wszystkie te dowody pozwalają autorowi dopatrywać się w Karaimach polskich prawowitych spadkobierców Chazarów.

W drugiej z kolei rozprawie pt. „Próba charakterystyki języków tureckich“ znakomity orientalista, prof. Uniwersytetu Jagiellońskiego, dr Tadeusz Kowalski zapoznaje czytelnika z systemem fonologicznym języków tureckich, wskazując na istnienie ośmiu samogłosek, które

podlegają zasadzie harmonii samogłoskowej, mającej decydujące znaczenie dla struktury języków tureckich. Autor omawia następnie system spółgłoskowy, budowę zgłoski, podkreślając przy tym ograniczoną ilość jej typów, i akcent. Rozpatrując pięć tureckich prof. Kowalski zwraca uwagę na jego stałość i jedynopostaciowość. Z rozdziału „O wyrazach“ dowiadujemy się, że wyrazy tureckie mogą się składać tylko ze zgłoski piennej, a czasem licząc nawet sześć, siedem i więcej zgłoszek. Jedną z najistotniejszych cech budowy języków tureckich jest zasada grupowania elementów morfologicznych po pniu. Tym się też tłumaczy istnienie znacznej ilości sufiksów o różnych funkcjach znaczeniowych, częste ich występowanie i zakres ich używania. Prof. Kowalski wyróżnia w językach tureckich tylko dwie jasno zarysowane części mowy, tj. imię (w obrębie którego można wyliczyć 1) rzeczownik i przymiotnik razem wzięte, 2) zaimek i 3) liczebnik) oraz czasownik. Co się tyczy grupy trzeciej — partykuł — są one najczęściej tworami pochodzenia wyraźnie nominalnego lub werbalnego. Języki tureckie nie różnią się od innych gramatycznie. Obca jest im również zasada jego określoności i nieokreśloności. Z analizy czasownika dowiadujemy się, że przez dodawanie różnych sufiksów pnie czasownikowe mogą ulegać różnorodnym modyfikacjom znaczeniowym o charakterze zwrotnym, biernym, wzajemnym itp. Różnią się trzy zasadnicze czasy: przeszły, teraźniejszy i przyszły. Oprócz tego występują jeszcze konstrukcje opisowe. Autor przechodzi następnie do łączenia wyrazów i budowy zdań, wskazując na zasadę podporządkowania w obrębie składni elementów zdania. Orzeczenie umieszcza się na końcu grupy wyrazów określających uboczne okoliczności, towarzyszące stanowi czy czynności wyrażonym w orzeczeniu. W rozdziale 8 rozprawy zapoznaliśmy się z warunkami, w jakich się języki tureckie od wieków rozwijały, dowiadujemy się, jakich kultur były one wyrazicielami i jak się zachowywały wobec zmieniających się wpływów obcych.

Znany historyk sztuki, profesor Katolickiego Uniwersytetu w Lublinie, dr Marian Morełowski, w artykule pt. „Zamek najeziorny w Trokach a źródła formy zachodniej i czarnomorskiej“ (Studium z dziejów architektury, urbanistyki i karaimsko-tatarsko-ormiańskich migracji) obala twierdzenie, które się przyjęło w nauce, że najeziorny zamek księcia Witolda w Trokach zbudowany został przez architektów krzyżackich. Autor studium na podstawie skrzętnie zebranego materiału porównawczego, dotyczącego budowy zamków w Finlandii, Nadbałtyce, Polsce i Rumunii, dochodzi do wniosku, że zamek trocki na wyspie zbudowany został w stylu włoskim przez Genuńczyków z Krymu, co

KRONIKA ILUSTROWANA



GUSTAW MORCINEK
po siedmiu latach powrócił do Polski



WOJCIECH ŚWIĄTOSŁAWSKI
b. minister W. R. i O. P. wrócił niedawno do kraju



Teatr Nowy w Poznaniu otworzył sezon komedią „Wesele Figara“. Na zdjęciu C. STRZELECKI (hrabia) i ZASADZIANKA (hrabina)

prof. Morełowski łączy z wyprawami nadczarnomorskimi Witolda i ze sprowadzeniem z Krymu Karaimów i Tatarów. Artykuł zdobią reprodukcje i plany umożliwiające porównanie stylów omawianych zabytków.

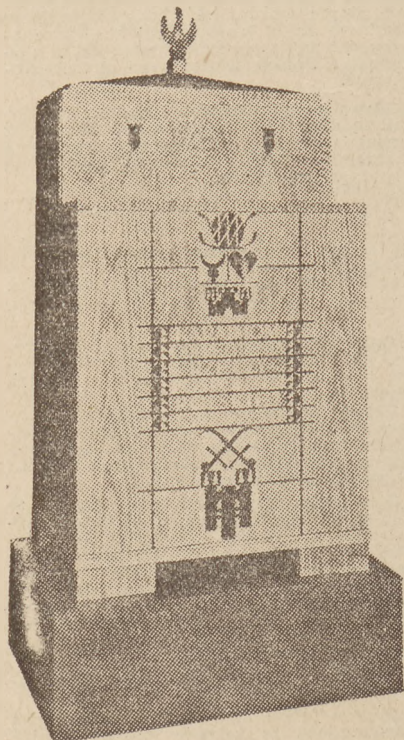
Docent uniwersytetu warszawskiego, dr Bohdan Baranowski, w artykule zatytułowanym „Ormianie w służbie dyplomatycznej Rzeczypospolitej“, opierając się na zgromadzonych materiałach archiwalnych przedstawia Ormian polskich jako tłumaczy i dyplomatów. Już od XIV w. Ormianie piastowali we Lwowie stanowisko tłumaczy miejscowych. W XVI w. coraz więcej Ormian przechodzi do służby dyplomatycznej, pełniąc obowiązki tłumaczy i sekretarzy kancelarii koronnej. W XVII w. cały handel ze Wschodem pozostawał w ich rękach. W tym też okresie pełnili Ormianie służbę dyplomatyczną. Najbardziej znaną rodziną ormiańską, która wydała tłumaczy i dyplomatów, była w pierwszej połowie XVII w. rodzina Serbkwiczów, w okresie późniejszym Piotrowiczów i Nikorowiczów.

Na tym się kończy część naukowa rocznika. W rozdziale „Pamięci tych, co odeszli...“ zestawiono długą listę zmarłych i zamordowanych w okresie okupacji karaimskich działaczy społecznych, naukowych, ludzi pióra, sztuki i techniki. W nekrologii zamieszczone jest wspomnienie pośmiertne o zmarłym wybitnym monogolicie polskim, prof. Władysławie Kotwiczu, dożywojącym członku Towarzystwa Miłośników Historii i Literatury Karaimskiej.

Kronika omawia sprawy organizacyjne Karaimskiego Związku Religijnego w Rzeczypospolitej Polskiej. Szata zewnętrzna rocznika przedstawia się okazale. Dobry papier, odpowiednio dobrane czerwonki świadczą o staranności wydawcy.

Życzymy wydawnictwu, żeby po udało się starcie i nadal rozwijało się pomyślnie.

Włodzisław Zajaczkowski



Szafa-skarbiec, w którym przechowywane są dawne przywileje królewskie Karaimów

ŻYCIE MUZYCZNE W KRAKOWIE

Polskie Wydawnictwo Muzyczne przejawia coraz większą aktywność nie tylko na polu wydawniczym, ale i w zakresie ruchu koncertowego. Po pięknym koncercie muzyki religijnej w kościele Mariackim, który zawniosł nam głównie jego inicjatywę, rozpoczęło cykl wieczorów kameralnych, poświęconych polskiej muzyce współczesnej.

Na program pierwszego z tych wieczorów, który odbył się dnia 13. XI, w sali Wyższej Szkoły Muzycznej, złożyły się: Suita na dwa fortepiany Władysława Markiewiczówny i na tę samą obsadę Wariacje na temat Paganiniego Witolda Lutosławskiego, Kwintet Konstantego Regameya i III Kwartet smyczkowy Romana Palestra.

Z tych wszystkich utworów, które zostały już wydane w ostatnim roku, albo też zostaną wydane w najbliższych miesiącach przez Polskie Wydawnictwo Muzyczne, wybił się niewątpliwie Kwartet Romana Palestra. Podziwiać należy wspaniały rozwój tego kompozytora, jaki obserwujemy w jego ostatnich dziełach. Nie można tu — rzecz jasna — mówić o doskonaleniu formy i języka muzycznego, gdyż tworzywo dźwiękowe stało się już w ręku Palestra od dawna doskonałym, wysubtelizowanym i gładkim narzędziem jego muzycznej inwencji. Ciekawe są raczej przemiany stylu jego muzyki, która dąży do coraz większej samowystarczalności, przejrzystości i jasności dźwięku, do coraz większej oszczędności i prostoty. Trzeci Kwartet idzie w tym kierunku jeszcze dalej niż grany niedawno Kwartet drugi. Jest to może najszerszy z utworów Palestra, jakie słyszeliśmy.

Interesującą kompozycją jest także Kwintet na klarnet, fagot, skrzypce, wiolonczelę i fortepian Konstantego Regameya. Regamey, znany muzykolog i świetny krytyk muzyczny, dopiero w latach wojny zaczął próbować swych sił na polu kompozycji. W okupowanej Warszawie grano z dużym powodzeniem jego

„Pieśni Perskie” i Kwintet; obecnie za-produkował w Szwajcarii nową Symfonię. O ile można sądzić z Kwintetu, jest to twórczość typowo eksperymentatorska, ujmująca brzmienie dźwięku w zespolę pięciu instrumentów. Pod tym względem Kwintet jest bardzo ciekawy, często nawet odkrywczy, choć chwilami nieco niżący dyżurnymi i gęstą polifonią kan- ciastych, krótkich motywów.

Obie te kompozycje — zarówno Kwartet Palestra, jak i Kwintet Regameya — przedstawiają olbrzymie trudności dla wykonawców. Toteż ze szczerym uznaniem należy podnieść artystyczny wysiłek Adamskiej, Goneta, Orłowa, Rudnickiego, Taurasa i Wysockiej-Ochlewskiej. Wykonanie przez nich obu utworów świadczy o dużej muzykalności i biegłości technicznej.

Suita na 2 fortepiany Wład. Markiewiczówny jest zgrabnie napisana na fortepian, mimo że używa środków nieco jednostronnych. Najlepiej brzmi część ostatnia, przypominająca swą celowo prostą melodią, opartą o równie proste tło współbrzmieniowe, lekko „skrzywione” brzmieniami sekundowymi itp., fakturę niektórych kompozytorów francuskich z czasu po pierwszej wojnie światowej.

Interesujące, ze względu na nowe perspektywy harmoniczne dla melodysty dawnego typu i zastosowanie problemów fakturalnych, są Wariacje W. Lutosławskiego, i, przypuszczam, że właśnie z tego punktu widzenia utwór zyska na przystosowaniu go do obsady na fortepian z orkiestrą, jak kompozytor ma podobno zamiar uczynić. Znane pianistki Wł. Markiewiczówna i St. Allinówna, doskonale zgrane, wykonywały oba utwory poprawnie, tak pod względem technicznym jak i pianistycznym.

Koncert Filharmonii w dniu 15. XI, przyniósł wykonanie mało albo wcale chyba w Krakowie nie znanej II Symfonii Skriabina pod batutą W. Biedia-

jewa. Nie jest ona wprawdzie w pełni charakterystyczna dla potężnej indywidualności, jaką reprezentuje „ostatni” Skriabin począwszy od op. 60 lub choćby 50, ale w każdym razie warto ją pokazać. Jest w tej kompozycji — mimo niewspółczesności, obnażającej emocje z jakąś zawstydzającą bezpośredniością i szczerością, wiele dobrej muzyki, co sprawia, że warta jest słyszenia i poznania.

Biedniawę poprowadził ją bardzo pięknie i potrafił wydobyć z orkiestry wszystkie kombinacje tematyczne.

Solistką wieczoru była znana kompozytorka i skrzypaczka, Grażyna Bacewiczówna, która wykonała z towarzysze niem orkiestrą swój II Koncert skrzypcowy. Jestem szczerą wielbiczką talentu

Bacewiczówny, jej potężnego i tak zawsze świeżego temperamentu artystycznego, jej doskonale znajomości formy i faktury, ale wydaje mi się, że II Koncert skrzypcowy nie dorównuje jej poprzednim kompozycjom. Robi wrażenie, jakby napisano go w pośpiechu, a nie solidnie wypracowano. Bo jak inaczej tłumaczyć nuciącą monotonią rytmiczną pierwszej części, brzmienia nie zawsze dostatecznie uzasadnione i często niezrozumiałe stosunek skrzypiec, jako instrumentu koncertującego, do orkiestry? Najlepsza jest część druga, niezbyt ciekawa pod względem tematyki, ale szczerą i melodycznie płynną.

Jako wykonawczyni zbierała Bacewiczówna zasłużone oklaski za grę głęboko muzyczną i świetną pod względem technicznym. Akompaniował bardzo muzykalnie w naddatkach Kiejstut Bacewicz.

Stefania Łobaczewska

PSYCHOLOGIA DYKTATORÓW PRZED BANKRUCTWEM

Książka Folke Bernadotte'a „Koniec Trzeciej Rzeszy” (Wyd. „Awir”, Katowice), drukowana już we fragmentach w „Przekroju”, podaje wiele interesujących faktów z ostatnich dni państwa hitlerowskiego, a przede wszystkim świetną i wnikliwą analizę psychiki dyktatorów, którzy już wiedzą, że grozi im nieuchronna katastrofa. Ledwie naszkicowane, artystycznie ujęte sylwetki Himmlera, Ribbentropa, Kaltenbrunnera i Schellenberga, z tych dni, kiedy Anglicy byli już pod Hamburgiem a wojska radzieckie pod Berlinem, pozwalają lepiej zrozumieć bezsens i katastrofę rządów dyktatorskich niż długie traktaty. Niemcy są powalone, wszyscy to wiedzą i rozumieją. Ale w państwie o-partym na systemie dyktatorskim nie ma nikogo, kto ośmieliłby się wyciągnąć z tego konsekwencje. Dyktator to „fizycznie i duchowo chory człowiek”, największy wpływ ma na niego człowiek, „który okazał się bardzo wartościowy: redagował nadzwyczaj uproszczone raporty o najbardziej skomplikowanych zagadnieniach”, — a nie ma siły, która by go usunęła. Książka Bernadotte'a wykazuje jasno, do czego może doprowadzić państwo dyktatura jednostki.

Autor nienawidził hitlerizmu. Gdy zwalnia Skandynawów z obozu koncentracyjnego, czuje swą bezsilność i poniekąd winę wobec tych wszystkich, których zwolnić nie może. Opis tego momentu jest szczerzy, ludzki i wstrząsający. Ale autor jest synem narodu neutralnego, który widział tylko cudze cierpienia. Choć pomagał cierpiącym, niemniej myślał inaczej niż ci, którzy żyli pod władzą hitlerizmu. Dlatego fakt, iż Niemcy oddali władzę Hitlerowi, autor nazywa „błędem”. Dlatego stwierdza, iż „kasta rządząca była na wskroś skorumpowana”, może dodać: „Jedynym wyjątkiem był mój dziadek szef SS Himmler”. To już trudno jest nam zrozumieć. gi

JAK UNIKAĆ TRZECIEJ WOJNY?

Książka Zilliaca „Między dwoma wojnami” („Czytelnik”, 1946) nie omawia bynajmniej, jakby mógł sądzić tęskpiący za trzecią wojną czytelnik, obecnej sytuacji politycznej. Została napisana i wydana w Anglii w roku 1939 i jest poświęcona analizie przyczyn, które musiały doprowadzić do drugiej wojny — ale równocześnie daje pośrednio odpowiedź na pytanie, co czynić, by do trzeciej wojny nie doszło. Ziliacus trafnie i interesująco wykazuje, iż przyczyna drugiej wojny powstawała już w roku 1917, a było nią stanowisko rządzących wówczas Anglią i Francją wobec rewolucji październikowej i jej następstw. Pogląd, iż inne stanowisko aliantów wobec rządów komunistycznych w Rosji utrzymałoby ją wśród przeciwników Niemiec, nie jest przekonujący: nie było wtedy siły, która by żołnierza rosyjskiego utrzymała na froncie. Ale inna taktyka aliantów zachodnich wobec ich wschodniego sojusznika nadalaby z pewnością inny bieg późniejszym wypadkom. — Nie popierana przez Zachód kontrrewolucja w Rosji skończyłaby się wcześniej i mniej krwawo. Nie podjudzana przez aliantów Polska zawarłaby pokój w roku 1919 a nie w 1921. Między państwem socjalistycznym a Zachodem nie stanąłby ten mur nie do przebycia, jaki stworzyły lata 1917, do 1922.

Równocześnie jednak Ziliacus wykazuje, że nie mogło być inaczej. Jak długo w demokracjach zachodnich czynnikiem decydującym były interesy wielkokałonalistyczne — tak długo interesy te musiały szukać wszędzie sojuszników przeciw największemu swemu wrogowi. Polityka wobec Rosji po rewolucji październikowej powodowana była tymi samymi względami, co późniejsza polityka Zachodu w sprawie abisyńskiej, hiszpańskiej, czechosłowackiej. Była to polityka nieosłabiania ewentualnego sojusznika w walce z socjalizmem. Sojusznikiem tym mógł być restrytuowany w Rosji carat, faszyzm włoski i faszyzm niemiecki. I to jest istotny sens i istotna nauka z książki Zilliaca. gi

Zaprenumerować

»ODRODZENIE«

można w każdym urzędzie pocztowym Prenumeratę kwartalną 120 zł Adres administracji: Kraków, Wielopole 1

W PRACOWNIACH PISARZY I UCZONYCH

Ankieta „Odrodzenia”

Halina Auderska: Od roku biorę udział w pracach nad słownikiem rosyjsko-polskim i polsko-rosyjskim, redagowanym przez prof. Witolda Doroszewskiego, a opracowywanym dla „Czytelnika”.

W lipcu br. została wydana w Londynie nakładem New Education Fellowship moja broszura w języku angielskim pt. „Poland” (The Children Cannot Wait). Słowo wstępne napisał znany sławista angielski prof. W. J. Rose.

W najbliższych miesiącach ukaże się nakładem Trzaski, Everta i Michalskiego drugie wydanie „Poczwerek Wielkiej Parady”. Pracuję obecnie nad nową powieścią dla młodzieży pt. „Dom wśród sosen”. Pragnęłabym bardzo odtworzyć spaloną w powstaniu warszawskim powieść pt. „Posucha”.

Ludwik Jaxa Bykowski: 1) Z powodu powojennych trudności wydawniczych mogłem opublikować jedynie parę drobniejszych artykułów, np. „Zadania studenta polskiego w dobie obecnej”, „Młodzież szkolna Wielkopolski i Pomorza w świetle badań eksperymentalnych”, „O przyszłość naszych szkół średnich”. Ma się też ukazać nieco większa praca pt. „Wychowawcze znaczenie morza”.

Duża praca, obejmująca kilkadziesiąt stron maszynopisu i podająca zasady polskiej pedagogiki narodowej, wykończona w czasie wojny i szczęśliwie ocalała, musi czekać. Nawet mniejsze prace, jak monografia młodzieży lwowskiej (uratowana we Lwowie), lub obecnie opracowane „Polityk jako wychowawca” i „Obiektywizm i tendencyjność w nauce i nauczaniu” nie wiem, czy znalazłyby nakładcę.

Ogół prac wykonanych przed wojną i w czasie wojny oraz wszystkie materiały surowe gromadzone od lat 30 zostały planowo zniszczone przez Niemców bądź w Poznaniu, bądź w czasie powstania warszawskiego.

2) Wznowiłem badania nad naszą młodzieżą szkolną, prowadzone od lat, jeszcze przed wojną, a których materiały zostały zniszczone. Opracuję też na nowo „Pedagogikę doświadczalną”, której pierwszy wydanie, dawno wyczerpane, jest obecnie przestarzałe. Rzecząc opracowałem niemal w całości w czasie okupacji w Warszawie, ale spłonęła bez śladu z całym mieszkaniem.

3) Gdy towarzystwa naukowe rozpoczęły działalność w kierunku wydawniczym, w szczególności „Naukowe Towarzystwo Pedagogiczne” i „Poznańskie Towarzystwo Przyjaciół Nauk”, oraz zaczęła wychodzić odpowiednio czasopiśma naukowe, jak „Kwartalnik Psychologiczny”, może też „Kwartalnik Pedagogiczny” i „Ruch Pedagogiczny” czy inne, można będzie pomyśleć nad planami wydawniczymi. Na razie, na życze-

*) Por. odpowiedzi w nr nr 68—92 i 94—95 „Odrodzenia”.

nie redakcji, mam zamiar czynnie współpracować w „Chowannie”.

Tadeusz Czeżowski: Ostatnio ukazały się w druku dwie moje broszury „O uniwersytecie i studiach uniwersyteckich” oraz „O naukach humanistycznych”. W najbliższym czasie ma się rozpocząć druk podręcznika „Logika”, przeznaczanego dla studiujących nauki filozoficzne, a obejmującego podstawy semantyczne, teorii zdań, teorii funkcji logicznych (nazwy i stosunki), logikę prawdopodobieństwa i zarys historii logiki — łącznie około 20 arkuszy. Gotowa do druku jest książka „O metafizyce, jej kierunkach i zagadnieniach”, objętości około 8 arkuszy. Przygotowuję zbiór ćwiczeń z logiki, obejmujących zagadnienia i przykłady z różnych dziedzin tej nauki, a opartych na wypisach z dawniejszej i współczesnej literatury logicznej. Pragnę też wydać pamiętnik i kronikę badań filozoficznych, którymi kierowałem w czasie okupacji, wraz ze streszczeniami i wygłoszonych tam odczytów. Poza tym kontynuuję, jakkolwiek powoli, pracę nad polskim słownikiem filozoficznym, rozpoczętą na kilka lat przed wojną, o czym zdawałem sprawę w „Ruchu Filozoficznym” (tom XV — 1939, nr 3).

Ks. Mieczysław Dybowski: 1. We wrześniu wydałem książkę „Działanie woli”, Poznań, Księgarnia Akademicka (str. 260 i VI).

2. Pracuję nad drugim tomem „Działania woli”.

3. Pragnę opracować książkę „O motywacji i kształceniu woli”.

Stanisław Grzycki: Wydaje „Histologie i anatomie mikroskopową człowieka w zarysie”. Tom I i II ukazały się drukiem w 1945—1946 roku w małej ilości, nakładem studentów Wydziału Lekarskiego i Wydziału Lek.-Weterynaryjnego Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie. Druk tomu III rozpocznie się w najbliższym czasie. Tom IV, który jest równocześnie atlasem mikrofotografii, w przygotowaniu.

Oprócz podręcznika wydrukowałem kilka prac naukowych w pismach lekarskich i lek.-weterynaryjnych.

Obecnie pracuję nad cytoarchitektoniką i myeloarchitektoniką kpry mózgu, w układem siateczkowo-śródbłonkowym skóry ludzkiej i zwierzęcej.

Przygotowuję do druku drugie wydanie podręcznika (tom I, II, III i IV) poprawione, uzupełnione i poszerzone. Wydanie drugie uzupełni także anatomia mikroskopowa porównawcza.

Prowadzę dalsze badania cyto- i myeloarchitektoniki kory mózgowej.

Troską moją jest znalezienie nakładcy, który by, oprócz poprawnego druku i papieru, mógł umieścić w tekście podręcznika kilkanaście barwnych ilustracji (tablic) i około 400 mikrofotografii.

K O R E S P O N D E N C J A

WYJAŚNIENIA

Do redaktora „Odrodzenia”

W związku z artykułem „Przemiany w polskim nacjonalizmie” („Odrodzenie” nr 38), w którego drugiej części mowa jest o mojej broszurze „Z zagadnień polityki demokratyczno-narodowej”, pragnę redakcji, a w szczególności autorowi prof. Konstantemu Grzybowskiemu, wyrazić podziękowanie za uznanie dla mojej pracy nad „odzyskaniem naszych ziem zachodnich, i w latach 1918—1920 i w czasie drugiej wojny światowej”, oraz dla mojej „dobrej woli i chęci zrozumienia i zaakcentowania tego wszystkiego, co się stało w Polsce w ostatnich dwóch latach”.

Prof. Grzybowskiemu razi jednak, że broszura moja jest — jak powiada — pagnięciem na część przeszłości Stronnictwa Narodowego, że nie widzę w niej żadnych błędów. Może mi Panowie pozwoli wyjaśnić najpierw, że broszura moja nie rości sobie pretensji do dania pełnego obrazu wszystkich ewolucji ruchu narodowego w Polsce i nie bez politycznej przyczyny nosi tytuł, ograniczony do zagadnień polityki demokratyczno-narodowej. To ograniczenie, unikając bezowocnej polemiki z innymi prądami narodowymi w roznamietnionej aż nadto tutejszej atmosferze politycznej, jest oczywiście celowe, nawet zasadnicze.

Broszura moja jest faktycznie powtórzeniem szeregu artykułów, które ogłosiłem w kilku pismach polsko-amerykańskich, aby odzwierciedlić sposób myślenia narodowych demokratów. Mówię w niej w tonie niewątpliwie Demokratyczno-Narodowym z okresu zaborów i pierwszej wojny światowej, nadto z entuzjazmem o twardej dźwie Komitetu Narodowego Polskiego w Paryżu w pierwszej wojnie oraz również z sentymentem o ruchu narodowym na ziemiach zachodnich, który faktycznie kontynuował bez przerwy tradycję demokratyczno-narodową. Nie jest przypadkiem, że w tych właśnie okresach i zakresach działalności o wysokim poziomie ideowym ruch narodowy cieszył się największym poparciem społeczeństwa. W latach np. najbardziej nędznego nacisku i nadużyć „sanacji” odnosiłmy w Poznańskim bardzo zdecydowane zwycięstwa wyborcze.

W sprawie żydowskiej, oświadczając się przeciwko brutalnym środkom antysemitkim, krzykliwym czy wręcz gwałtownym formom działania negatywnego, solidaryzowałem się istotnie z pozytywnym popieraniem handlu, rzemiosła

Marian Seyda (Londyn)

SPÓŁDZIELNIA WYDAWNICZA •CZYTELNIK•

W TYCH DNIACH UKAZA SIĘ

TOM PIERWSZY SERII
„ŻYWOITY NIEUROJONE”

LUDWIK HIRSZFELD

HISTORIA JEDNEGO ŻYCIA

STRON 372

JAROSŁAW IWASZKIEWICZ

WIERŚE WYBRANE

Z PORTRTEM POETY

STRON 240

PAWEŁ HERTZ

DWIE PODRÓŻE

STRON 75

ZOFIA NAŁKOWSKA

MEDALIONY

STRON 90

BIBLIOTECKA MŁODEGO CZYTELNIKA
„PRZEKŁADY Z LITERATUR OBCYCH”

LEW TOŁSTOJ

DZIECIŃSTWO

STRON 160

VON HASSEL I JEGO KSIĄŻKA

W związku z omawianą przez nas książką b. ambasadora Trzeciej Rzeszy w Rzymie, von Hassla, „Das andere Deutschland“, przytaczamy charakterystyczny list, który pojawił się w „Neue Züricher Zeitung“ w numerze z dnia 5 listopada br. Brzmienie listu jest następujące:

„Dwa pisma szwajcarskie „Basler Nachrichten“ i „Neue Züricher Zeitung“ przyniosły w związku z omawianiem książki Hassla „Das andere Deutschland“ oceny jego charakteru i indywidualności, przedstawiając go jako reprezentanta Niemiec, jakie chciałobyśmy widzieć. Artykuły te przypomniały mi warunki, w jakich poznałem von Hassla. Był on wówczas posłem Trzeciej Rzeszy w Belgadzie, gdzie mieszkalem. Pamiętam go dobrze z przemówień w Związku Niemców. Były to wystąpienia niemieckiego nacjonalisty i wszeczeńia Niemca. Jego ataki na mocarstwa zachodnie, na Traktat Wersalski, na wszystko, co nie-niemieckie, nie różniły się niczym od tego, co mówili i propagowali najzacieklejsi narodowi socjaliści. Ożeniony z córką admirała Tirpitz'a tkwił w reakcyjności i wraz ze swoimi towarzyszami podkopywał i tak niewielkie zaufanie do republiki wejmarskiej.

Po raz ostatni widziałem go w krótki czas po przejściu władzy w Niemczech przez narodowych socjalistów. Nikomu nie przyszłoby wtedy do głowy uważać go za ukrytego przeciwnika nowego władcy Niemiec. Hassel nie ukrywał satysfakcji, że dojdzie do władzy Hitlera było pierwszym krokiem w kierunku zwalczania nienawistnych skutków przegranej wojny światowej. Jako Szwajcara dotyka mnie niemiłe nazywanie von Hassla reprezentantem „innych Niemiec“. Było wprost przeciwnie. Hassel należał do kół, które umożliwiły Hitlerowi dojście do władzy. Wierzyły one, że znajdują w nim powolne narzędzie i odwróciły się od niego — o wiele za późno — kiedy się przekonali, że droga, na którą wkroczył, prowadzi do zagłady Niemiec“.

fr

Z teki dr. Prota Sowizdrzała GRYFOLOGIA

— Wygląda, jakby to miała być nauka o gryfach — zauważył mój przyjaciel, gdy użyłem kiedyś w rozmowie tego wyrazu. — Rozumiem. Po syrenach i bazylijskach — gryfy. A potem pewnie salamandry? Mitologia jest dość obfita! Przez ile to lat najtężsi filozofowie i historycy dukwili nad słownikiem Roschera! W ciągu tego czasu zniósłby cały mendel jaj twój zacy bazylijszek, a jakaś syrena mogłaby z nich zupełnie nieźle jakiegoś feniksa wysiedzieć.

— Mitologia jest niezmierzona — odparłem. — Dlatego odnoś się do niej z większym szacunkiem. To konkretny czynnik naszego życia, z którym jako socjolog powinien się poważnie liczyć.

— Czy przypadkiem nie mitologizujesz?

— Świat zaludniają upiorne negatywy snów. To zaś, co się nam śni, to już bywa znośne, bo to jest pozytyw, który dość często nosi ślady retuszu towarzyskiego i obyczajowego. Syrena albo bazylijszek, to tylko drobniutki w wielkiej powszechnej historii gryfologii. Dobrze sobie z tego zdawał sprawę wolterowski Zadyg. Pamiętasz w jakie tarapaty popadł ten człowiek o dziwnym losie wskutek niewinnego zabawienia się subtelnymi rozmowami na tematy oderwane? Ilu takich Zadygów znałem! Przeczytam ci tę historię w starym tłumaczeniu Józefa Szymanowskiego:

„Wszczęła się żwawa sprzeczka nad jedną Zoroastra ustawą, która zakazywała jeść gryfów. Na co to, mówili jedni, zabraniać jeść gryfów, kiedy ich na świecie nie masz i nie było. Muszą być, rzekli drudzy, kiedy Zoroaster jeść ich nie każe. Zadyg chciał ich pogodzić, mówiąc: Jeżeli są w samej rzeczy gryfy, nie jedźmy ich, jeżeli zaś ich nie masz, to tym łatwiej wszyscy dopełnimy ustawy Zoroastra.

Mędrzec jeden, który napisał trzy-nastęie tomów o własnościach gryfów i który prócz tego był wielkim Theurgistą, poszedł czym prędzej oskarżyć Zadygę przed Arcy-Magiem nazwanym Zaibor, najgłupszym z Cheldejczyków, a przeto fanatykiem.

Ten człowiek kazałby być zaraz na pal wbić Zadygę na większą cześć i chwałę słońca i jak po najlepszym uczynku czytałby sobie brewiarz Zoroastra z pełnym ukontentowaniem tonem. Kador przyjaciel (i ten więcej popłaca jak sto księży) poszedł do starego Zaibora i mówił mu: Niech żyją słońce i gryfy. Strzeż się karać Zadyga, on prawdziwie jest świętym, ma u siebie na podwórzu gryfy, a przecież ich nie jada. Jego zaś oskarżyciel jest herezykiem, kiedy śmie utrzymywać, że króliki mają rozdwojone łapki i że są czystymi. — No dobrze, rzecze Zoibor potrząsając łysą głową, należy tedy na pal wbić Zadyga za to, że źle sądził o gryfach, a drugiego, że źle mówił o królikach. Kador zaspokoili przecie tę sprawę przez jedną uczciwą panienkę, z którą miał syna, a ta wielki miała kredyt in Collegio Magów.

Nikogo jeszcze na pal nie wbito, przeciwko czemu wielu szemrało Doktorów, bliski stąd dla Babilonu wróżąc upadek.“ (Józefa Szymanowskiego wierszem i prozą pisma różne. Wyd. T. Mostowskiego, Warszawa, 1803; str. 169-70.)

— To jest kwestia wychowania ludzkości.

— Tego samego zdania był Wolter, gdy zrobiwszy Zadyga mini-

EPIGRAMATY TEATRALNE

DO J. O.

Mówisz że szminki różowa laska,
to fałsz i kłamstwem aktorska maska,
bo tylko prawda jest sztuką.
Nęka mnie jedno, Fantazjuszu,
że taki koncept z głowy ruszył
pokrytej... peruką.

DO M. U.

Fałszywe warkocze we włosach masz,
upozowaną przez poetę twarz
i z obcej epoki strój.
Do sztucznych sadów na scenę spadł
goździk różowy — żywy kwiat.
Podnieś go, Mario! Twój.

DO I. S.

Były to czasy, kuzynko Ireno,
gdy scena była po prostu sceną,
a nie, jak dziś, całą Polską.
Na problematy „Wielkichnoey“ patrzę
przez cały sezon — i śnię o teatrze
takim jak wtedy: z Ireną Solską.

Artur M. Swinarski

O PLECIUCHU BRZYDKI

„Ludzie małej wiary dają też posłuch byle jakim plotkom. Ktoś coś słyszał, że ktoś, na przykład, powiedział: „to, co leży na zachód od Nysy Kłodzkiej, od nas odpadnie, stąd nawet tam za Nysą Kłodzką niczego się nie inwestuje“. O pleciuchu brzydki, aby ci się raczej język w patyk przemienił. Ktoś coś opowiadał, że ktoś jakoby twierdził, że istnieje uzgodniony międzynarodowy tajny plan zajęcia tych terenów aż po jakąś tam linię przez Amerykanów. O babski polityku, aby cię tknęła ostra biegunka“.

Takim stylem jest napisany artykuł wstępny p. Bednorza pt. „Ludzie małej wiary“ („Odra“, nr 52).

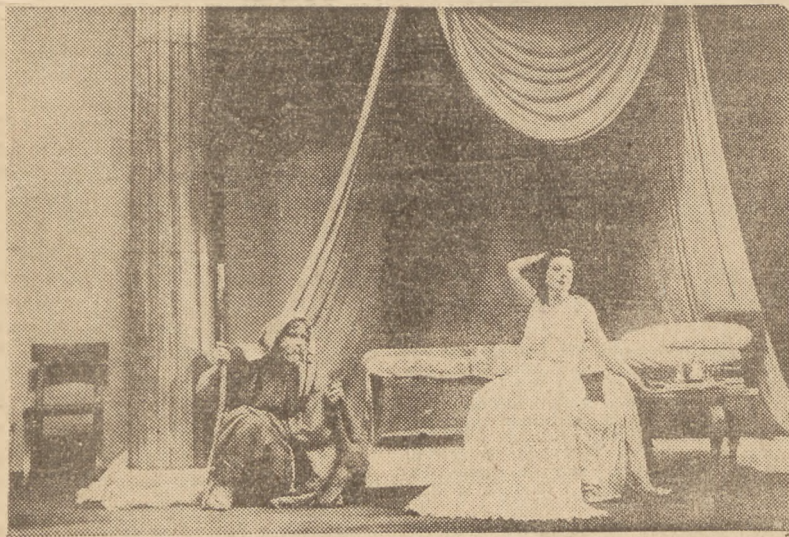
Znajdziemy w tym samym artykule opis seansu spirytystycznego z udziałem Bednorza:

„Po kolacji o północy rozpoczął się seans spirytystyczny. Nie bajki to, ale fakta. Wywołaliśmy przy pomocy latającego talerzyka m. in. ducha jakiegoś zamordowanego przez bandytów człowieka z waszej okolicy“. Po seansie, w czasie którego wywołany duch przepowiedział, że w grudniu wybuchnie wojna, znajomi Bednorza — „...poczęli zupełnie serio rozważać problem wyjazdu z zachodu do środkowej Polski“. Pan Bednorz, widząc, że jest źle, zwraca się do swych znajomych („ludzi małej wiary“) z płomiennym wezwaniem: „Ludzie małej wiary i słabych serc, podnieście się z upadku. Pewnie ten artykuł podsunął wam przyjaciele (czy antagoniści) do przeczytania. Nie gniewajcie się. Nad Odrą i Nysą trzeba mieć wiarę i odwagę. Trzeba tu siedzieć nie jak nad brzegiem przepaści, ale jako nad brzegiem nowego życia Polski“.

Ktoś coś opowiadał, że ktoś jakoby twierdził, że istnieje tygodnik literacko-społeczny „Odra“; Bednorzowi życzymy, aby mu się raczej język w patyk przemienił, gdyby komuś kiedyś coś takiego powiedział, tudzież, aby usiadł i nie narażał czytelników pism literackich na ostrą biegunkę itd.

tar

„PENELOPA“ W WARSZAWIE



Państwowy Teatr Polski w Warszawie wystawił „Penelope“ L. H. Morstina. Na zdjęciu KREZMAR (Odys) i ROMANÓWNA (Penelope)

„DAMY I HUZARY“ WE WROCŁAWIU



We Wrocławiu grana jest obecnie komedia A. Fredry „Damy i Huzary“. Na zdjęciu JANKOWSKA (Zosia) i ZDANOWICZ (major)

O LITERATURZE „CARMEN“ W OPERZE ŚLĄSKIEJ KOMUNIKATY

(Opowiadanie milicjanta)

Zatrzymałem strumień: „Lebiego!
Czy krwawisz, czy to zachód słońca?
Co*) się wijesz ruchem zaskronca,
dokąd pędzisz te wody w biegu?“
Strumień stał się jeszcze czerwienią.
chciał wziąć wodę w usta. lecz jęczy:
„Do powieści — rzeki Biskiego“.

Stanisław Jerzy Le

*) Powinno być: „Czego się wijesz itd.“.
Ale tak powiedział milicjant. Trudno.
St. J. L.

W Gdyni ukonstytuowała się grupa Polskich Marynistów Plastyków. Celem jej jest:
1) urządzanie wspólnych lub indywidualnych wystaw marynistycznych w kraju i za granicą;
2) organizowanie wystaw marynistyki zagranicznej;
3) wydawanie reprodukcji prac swych członków;
4) wzajemna pomoc moralna i materialna.

Do grupy należeć mogą polscy artyści plastycy, członkowie Polskiego Związku Artystów Plastyków ze wszystkich okręgów Rzeczypospolitej, którzy poświęcają się tematyce marynistycznej. Prace organizacyjne grupy są w toku. Korespondencje w tej sprawie przyjmują referenci sztuk plastycznych Wydziału Oświaty, Kultury i Sztuki Zarządu m. Gdyni, art. mal. Franciszek Szwoch.



Opera Śląska z siedzibą w Bytomiu wystawiła „Carmen“ w reżyserii A. Popławskiego

Jak dostarczać słowo drukowane na wieś

Pod protektorem ministra Poczty i Telegrafów dr. J. Putka został zorganizowany przez „Czytelnika“ konkurs: „Jak dostarczać słowo drukowane na wieś?“ Celem konkursu jest zwiększenie czytelnictwa na wsi. Praktyczne projekty, podające sposób szybkiego, stałego i punktualnego dostarczania wydawnictw na wieś (z uwzględnieniem wsi oddalonych od urzędów pocztowych, stacji kolejowych i autobusowych), należy nadsyłać do dnia 31 grudnia 1946 pod adresem: Komitet Konkursowy (Jak dostarczać słowo drukowane na wieś“, Warszawa, ul. Daszyńskiego 14 (dawniej Wiejska). Prace konkursowe, nie przekraczające 2 stron arkuszowych, mają być nadsyłane w kopercie zamkniętej, podpisane godłem; druga koperta zamknięta, opatrzona tym samym godłem, winna zawierać kartkę z nazwiskiem, imieniem, określeniem zawodu i dokładnym adresem autora. Za najlepsze pomysły Sąd Konkursowy przyzna następujące nagrody: pierwsza 20.000 zł, druga 15.000 zł, trzecia 10.000 zł, czwarta 5.000 zł.